Nr. 136. 319 Lwów — Piątek dnia 16 Czerwca. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują: Biuro dzienników ul. Karola Ludwika l. 9. Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5. ...

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi. Miesięcznie ... Kwartalnie ... Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. ...

CENA OGŁOSZEŃ ...

Ogłoszenia przyjmuje BIURO DZIENNIKÓW ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Dziś: św. Franciszka K. | Mytrofana
Jutro: św. Adolfa Bisk. | Dorofteja Jep.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g 4 m. 5
Zachód „ 7 „ 56

Długość dnia g. 15 m. 51
Przybyło dnia od wczoraj 0 m.

Chcąc uczynić zadość wielokrotnym życzeniom naszych czytelników otwieramy wspólną prenumeratę na PRZEGLĄD i na BLUSZCZ. Prenumerata ta wynosi na prowincyi z przesyłką pocztową za PRZEGLĄD i BLUSZCZ razem: kwartalnie 6 zł. 80 ct. półrocznie 13 zł 60 ct. Warunek nieodwołalny: prenumerata ta nie może być złożona niż na kwartał i musi być złożona przed 1 lipca, abyśmy mogli zamówić z Warszawy odpowiednią liczbę egzemplarzy „Bluszcza".

Administracya „Przeglądu".

Przegląd polityczny.

Lwów 15 czerwca.

Rzadkie są wiadomości z Litwy, jak rzadko kiedy jęk się wyrwie za mury więziennej ciemnicy. Lecz ilekroć stamtąd dojdzie głos stłumiony, zawsze brzmi zakrzepłym bólem, w którym jednak czuć hart niezłomny i wiarę tak niespożytą, jak ta w pieśni legionów. Takim właśnie tonem dźwięczy wieść, która teraz nadeszła z kraju, wydanego na łup wiernym naśladowcom Nowosilcowa i Murawjewa.

Nowy generalny gubernator obejrzał się po swej dzielnicy i obaczył, że choć tratowano ją tatarskiemi kopytami przez cały wiek, choć szubienic postawiono tyle, ile drzew rośnie w jej lasach, choć cerkiewnych gmachów nabudowano mnóstwo, a żarłocznego czynownictwa sprowadzono bez liku, choć bez ilości wydzierano Polakom własność i nowe nakładano ciężary, jednak wszystko to było na nic, bo kraj nie stał się rosyjskim, pozostał takim, jakim stworzyły go wieki polskiej pracy i myśli, tylko zubożał strasznie i wygląda na wielką ruinę, która już wnet przestanie dawać żer czynownikom. Mnóstwo ziemi leży odłogiem, cena jej spadła tak, że jest niższą niż w europejskich dzierżawach carskich, a nikt nie osiada na niej, bo Polakom osiadać nie wolno, Niemcom zakazano, a Rosyan nawet batami utrzymać na niej nie można. Rozdawano skonfiskowane folwarki czynownikom; ci wyssali z ziemi co się dało, zadłużyli ją w państwowym banku i uciekli; inne darowane folwarki rozdrobiono, a na zagrodach osadzano z początku bezrolnych chłopów rosyjskich, potem nawet kryminalników, którzy już odbyli karę. Szło o zaszczepienie prawosławnego ziemiaństwa choćby z żywiołów najgorszych. Lecz daremne były usiłowania, bo chłopi rosyjscy i kryminaliści uciekali, gdyż na ziemi litewskiej trzeba usilnie pracować i poprzestawać na małem, a stepowa, koczownicza natura rosyjska tego nie umie. Namnożyło się tylko z tych niedoszłych rolników, którzy potworzyli bandy i poszli po wsiach grasować tak, jak w miastach grasują czynowie. Co się nie szabrowano jeszcze, nie zabite, nie wyparte na Sybir, to pańskie dostało. Taki raport wysłał do Petersburga nowy gubernator, człowiek, o którym powiedziano przy jego nominacyi, że rosyjską „ideę" będzie rozwijał w duchu Murawjewa. Więc w Petersburgu postanowiono utworzyć liczną komisyę i wysłać ją na Litwę, aby zbadała, co czynić dla skutecznego zrosyanizowania ziemi. Oczywiście ta komisya może obmyśleć mnóstwo środków kosztownych, ale nie przerobi koczowniczej natury rosyjskiej, ani spokojnej wytrwałości Litwinów nie przełamie. Będzie może odmiana w narzędziach ucisku, lecz rezultat pozostanie ten sam, świadczący z jednej strony o harcie naszego ludu, z drugiej — o zdolności Rosyan do podbojów i niszczenia, ale nie do asymilacyi.

Kiedy mowa o łamaniu praw, to skok od Rosyi do Francyi dzisiejszej bardzo mały. Właśnie we Francyi Polacy wystąpili z protestem, uchwalonym na zgromadzeniu i wniesionym do parlamentu, — z protestem przeciw rządowemu postanowieniu, że papiery po samobójcy Sawickim mają być wydane rosyjskiemu rządowi. Sprawa Sawickiego znana jest czytelnikom. Na zapieczętowanym pakiecie z papierami swymi napisał on: „Spalić po mojej śmierci". Ale rosyjski konsul Karcow zażądał wydania mu tego pakietu, opierając się na konwencyi francusko-rosyjskiej z r. 1874, w której powiedziano, że po Rosyanach zmarłych we Francyi dziedziczy rząd rosyjski. Mowa tu oczywiście o takich Rosyanach, którzy nie mają żadnych spadkobierców i nie zostawili ostatniej woli. Do Sawickiego wcale nie można stosować się ta konwencya, bo przestał być rosyjskim poddanym, zostawił ostatnią wolę i w osobie swej babki, mieszkającej w Paryżu, ma spadkobierczynię. Pomimo tego sąd francuski, z polecenia ministra, postanowił wydać Karcowowi pakiet Sawickiego. Co jest w tym pakiecie, nikt nie wie, wolno jednak przypuszczać, że listy, zawierające wiele nazwisk osób mieszkających pod rosyjskim rządem. Tym sposobem grozi więzienie i Sybir, bo choć może nic nie zawinili, ale dość, że korespondowali z tak politycznie podejrzanym człowiekiem, jak Sawicki. W usłużności swej dla caratu, republikański rząd nie wzdrygnął się przed ściągnięciem nieszczęścia na ludzi, którzy nic mu nie zawinili. Otóż gdy tak nieludzko postąpiła władza francuska, Polacy zamieszkali w Paryżu uchwalili na zgromadzeniu następującą petycyę do parlamentu:

„Uchwała trybunału apelacyjnego w sprawie Sawickiego budzi w nas Polakach, mieszkających we Francyi, największą obawę, że w przyszłości, w obec tego, który z nas umrze, wnet zastępca rosyjskiego rządu zagarnie nasze najbardziej poufne i ważne dla naszych rodzin dokumenty. W obec tego ze smutkiem musimy wyznać, że tu, na wolnej ziemi republikańskiej, los nasz jest tak samo bolesny i podlegający wszelkiemu bezprawiu, jak pod bezpośrednim uciskiem moskiewskiego despotyzmu."

Protest ten jest słuszny. Polacy, mieszkający we Francyi, z pewnością nie solidaryzują się z akcyą nihilistyczną i nie w interesie rewolucyonistów rosyjskich protestują przeciw wydaniu caratowi papierów Sawickiego, ale muszą się zastrzedz przeciw ściganiu ich przez Rosyę nawet na francuskiej ziemi. Czy jednak ten protest będzie wysłuchany? czy się obudzi sumienie francuskie i czy parlament nakaże rządowi cofnąć uchwałę trybunału apelacyjnego? — o tem bardzo wątpimy. Kto się sprzymierzył z caratem i poszedł doń na służbę, ten powoli musi zejść na rosyjski poziom pojmowania sprawiedliwości, a właśnie widzimy, że pod tym względem Francya bardzo prędko się przeistacza.

Z Berlina donoszą, że rezultat dzisiejszych wyborów do parlamentu zapewne nie da jeszcze pojęcia o tem, jaki los spotka rządowy projekt powiększenia armii. Powszechnie przewidują, że w wielu okręgach głosy się rozstrzelą, albowiem wszystkie stronnictwa rozbiły się na mniejsze frakcye, a każda z nich stawia swego kandydata. Będą tedy ściślejsze wybory, których liczbę zapowiadają na 150 do dwiestu i one dopiero zdecydują o składzie parlamentu. Te ściślejsze wybory odbędą się 24 czerwca, a ostateczny obrachunek będzie opublikowany 28 czerwca. W skutek tej zwłoki musi być odłożone zwołanie nowego parlamentu, który się zbierze nie 4 lipca, jak miało być pierwotnie, lecz 11-go. A przedstawiona mu będzie najpierw nie ustawa wojskowa, ale anticholeryczna, ułożona na zasadach uchwalonych niedawno na konferencyi międzynarodowej w Dreźnie, potrzebna zaś pilnie dla tego, że prawdopodobieństwo cholery w tym roku coraz się zwiększa.

Notujemy tu, że we wtorek z rana cesarz Wilhelm niespodziewanie przybył do Poznania, zaalarmował wojsko i wyprowadził je za miasto na ćwiczenia, wieczorem był na obiedzie u komenderującego jenerała v. Seeckta, a potem odjechał. Żadnego przyjęcia urzędowego i żadnego zbliżenia się do ludności nie było.

Delegacye.

(*Telegram „Przeglądu"*).

Wiedeń 15 czerwca. W ściślejszej komisyi delegacyi węgierskiej dawał minister Kallay wczoraj dalsze wyjaśnienia o sytuacyi w Bośnii i Hercogowinie. P. Kallay oświadczył, że jeżeli te prowincye będą się nadal rozwijały tak jak dotąd, to wkrótce należeć będą do najzamożniejszych krajów bałkańskich. Kontrola obu rządów nad budżetem Bośnii jest zupełnie wystarczająca. Następnie oświadczył minister, że pułki bośniackie są z każdym rokiem doskonalsze. — W przyszłym roku utworzone zostaną w Bośnii cztery sztaby pułkowe. Także liczba ludności rośnie w stosunku bardzo pomyślnym, coroczny przyrost bowiem wynosi 1 9 prc.

Prezes komisyi, zesumowawszy rezultat debaty, wyraził p. Kallayowi uznanie za jego cichą, niemniej jednak skuteczną pracę.

W delegacyi austryackiej toczyła się obszerna dyskusya nad budżetem ministerstwa spraw zagranicznych.

Młodoczech Massaryk wywodził, że z powodu ostatnich napaści prasy niemieckiej na Austryę, nie ma w Czechach najmniejszej sympatyi dla trójprzymierza. Następnie zaczął mówca poruszać sprawę wykluczenia młodoczechów z komisyi budżetowej i zapytał hr. Deyma, czy szlachta czeska zgadza się z oświadczeniem, które w tej mierze złożył p. Plener.

Prezydent delegacyi uchylił to pytanie i zagroził p. Massarykowi, że odbierze mu głos, jeżeli stawiać będzie podobne pytania.

Hr. St. Badeni oświadczył, że Polacy przy wyborze do komisyi trzymali się dotychczasowego zwyczaju, na mocy którego większości delegatów z każdego kraju przysługuje prawo mianowania kandydatów do komisyi. Z tego jedynie powodu głosowali Polacy za przedłożoną im listą.

Następnie oświadczył mówca, że wita radośnie zarówno przemowę Najj. Pana, jak i oświadczenia hr. Kalnoky'ego, z których przebija się ufność w utrzymanie pokoju. Pokój bowiem leży w interesie całej monarchii a w pierwszym rzędzie w interesie Galicyi. W zapewnieniu, że stosunki nasze do wszystkich mocarstw są bardzo dobre, upatruje mówca jeden z najdonioślejszych rezultatów trójprzymierza i polityki hr. Kalnoky'ego. Pragnąćby tylko należało, aby trójprzymierze i obecna polityka także w przyszłości były podstawą naszego stanowiska w obec zagranicy. Najświetniejszym może rezultatem polityki hr. Kalnoky'ego jest to, że mógł on zapewnić, iż stosunek nasz do Rosyi jest bardzo dobry. Mówca z zadowolnieniem przyjmuje do wiadomości to oświadczenie i zarazem wyraża nadzieję, że także Rosya w przyszłości nie zrobi nic takiego, coby się nie dało pogodzić ze stosunkiem, w jakim powinny się znajdować zaprzyjaźnione ze sobą mocarstwa. Mówca zwraca jednak uwagę na krecią robotę panslawistów, dokonywaną zapewne za plecyma rządu rosyjskiego, a mającą na celu podjudzanie narodów w państwie sąsiedniem. Owocem tym wichrzeń był napad na metropolitę. Z upoważnienia Polaków i Rusinów wyraża mówca następnie oburzenie swe z powodu tego nikczemnego napadu, który spotkał metropolitę za to jedynie, że ten książe Kościoła otwarcie wypowiedział w Rzymie swoje przekonania i dał wyraz swemu patryotyzmowi jako obywatel Austryi i katolicki książę Kościoła.

Mówca ma nadzieję, że rząd przecie położy raz koniec tym wichrzeniom. Mała grzywna policyjna, którą wymierzono sprawcom tego ohydnego napadu, była dla nich raczej premią, aniżeli karą. Rząd powinien dobrze zastanowić się nad tym czynem, który wypłynął z tendencyi wrogich państwu i powinien starać się dotrzeć aż do źródła. Źródło zaś tego podstępnego napadu znajdzie się po za granicami naszej monarchii, to też powinien nasz rząd postarać się u rządu zaprzyjaźnionego państwa, aby raz już położono koniec tym wichrzeniom.

W końcu apeluje mówca do delegatów, aby usunęli na bok wszelkie waśni narodowościowe, a poświęcili cały swój czas i swoją wiedzę tym celom, dla których tu się zebrali, a mianowicie, aby przez udoskonalenie siły zbrojnej zapewnili także polityce zagranicznej powodzenie. (Oklaski).

Po hr. Badenim zabrał głos młodoczech p. Pacak i rozpoczął swą mowę polemiką z p. Plenerem z powodu wyboru do komisyi. Następnie zwrócił się mówca przeciw hr. Badeniemu z powodu jego uwag o agitacyi panslawistycznej w Galicyi. Zdaniem mówcy panslawizm jest tylko straszydłem, a zupełne równouprawnienie między Polakami a Rusinami musiałoby położyć koniec tego rodzaju agitacyom. Mówca ma za złe hr. Badeniemu to, że z powodu zajścia na dworcu kolei północnej wzywał policyę na pomoc.

W dalszym ciągu przemawiał mówca za stworzeniem potężnego królestwa czeskiego i za sojuszem z Rosyą. Temu jednak stoi na przeszkodzie trójprzymierze. O szczerej przyjaźni z Rosyą nie może być mowy, skoro książę bułgarski, którego sułtan nie chce przyjąć, znajduje przyjęcie w Wiedniu. Przyjaźń z Rosyą zmniejszyłaby ogromne wydatki na wojsko i dozwoliłaby prowadzić politykę pokojową na wewnątrz, dziś zaś muszą mężowie stanu w Austryi liczyć się z milionami niezadowolnionych obywateli.

W końcu zaczął mówca namiętnie atakować Plenera. Prezydent upomniał go kilka razy, a gdy to nie pomogło, odebrał mu głos, zapytawszy o to poprzednio delegacyę, która wszystkimi głosami przeciw czterem młodoczeskim oświadczyła się za odebraniem głosu p. Pacakowi.

P. Menger omawiał wpływ traktatów handlowych na stosunki włościańskie, poczem zabrał głos młodoczech p. Adamek i również począł ostro krytykować wybory do komisyi, za co go przewodniczący kilkakrotnie upomniał. W dalszym ciągu wykazywał p. Adamek, że trójprzymierze oznacza zbrojny pokój, zaś porozumienie się z Rosyą sprowadziłoby pokój niezbrojny.

Słoweniec p. Pfeifer pochwalał politykę hr. Kalnoky'ego, skarżył się jednak na panujący w Europie militaryzm, który tylko socyalnej demokracyi na dobre wychodzi.

Młodoczech dr. Herold użalał się na to, że prezydyum nie pozwala w delegacyach nic mówić o stosunkach wewnętrznych monarchii, a przecież polityka wewnętrzna i zewnętrzna są ze sobą w ścisłym związku. Następnie omawiał mówca stosunek nasz do trójprzymierza. Byłoby to, zdaniem dr. Herolda, bardzo smutnem, gdyby egzystencya państwa zależała od dalszego trwania trójprzymierza. Pokój taki, jaki mamy obecnie, niszczący wszystkie siły ekonomiczne, nie może być celem naszej polityki zagranicznej. Mówca nie ufa czysto defenzywnemu i pokojowemu charakterowi trójprzymierza, gdyż Niemcy i Włochy mogą mu każdej chwili nadać charakter zaczepny. Następnie wysławiał mówca, jakie to błogosławieństwo spadłoby na kraje, gdyby z Rosyą zawarto stosunek prawdziwie przyjacielski. Zmiany polityki zewnętrznej i wewnętrznej domagają się nie młodoczesi, ale cały naród czeski.

Mowę Herolda oklaskiwano na galeryi, skutkiem czego zagroził prezydent, że każe ją wypróżnić, jeżeli się to powtórzy.

Hr. Ledebur oświadczył, że jakkolwiek niestosowną jest rzeczą wytaczać sprawy czeskie przed forum delegacyi, jednakże mówca musi kilka słów powiedzieć, aby zaprotestować, jakoby młodoczesi stanowili reprezentacyę całego narodu czeskiego. Prezydent upomniał mówcę, aby trzymał się przedmiotu obrad.

Hr. Ledebur zapewniał, że szlachta czeska nigdy nie da się wodzić młodoczechom i w końcu wyraził nieograniczone zaufanie do polityki hr. Kalnoky'ego.

Po krótkiem przemówieniu Massaryka, który jeszcze raz zapytał Deyma, czy szlachta czeska zgadza się z oświadczeniem p. Plenera, zabrał głos minister spraw zagranicznych hr. Kalnoky i oświadczył na wstępie, że nie myśli bynajmniej utrzymywać, iż sprawy wewnętrzne nie mają najmniejszego związku z zewnętrznemi. Takiego zapatrywania niezawodnie i prezydent delegacyi nie podziela, gdyż materyalne położenie kraju i stosunki socyalne odbijają się na stosunkach z zagranicą i na kierownictwie spraw zewnętrznych. Wszelako sprawy, mające charakter czysto lokalny i obchodzące tylko jedną prowincyę, nie należą do delegacyi, gdyby bowiem w obu delegacyach poruszano takie drażliwe kwestye, to zmieniłoby to zupełnie naturę i cel tego zebrania. Hr. Kalnoky konstatuje, że młodoczesi przemawiali ze swojego, jednostronnego punktu widzenia, wszelako w delegacyach zasiadają reprezentanci wielu szczepów i wszyscy są innego zdania, nadto trzeba się także liczyć ze stanowiskiem, na którem stoi delegacya węgierska. Nie ulega wątpliwości, że gdyby polityka Austro-Węgier zrobiła zwrot w duchu młodoczeskim, wówczas ogromna większość narodów monarchii powstałaby przeciw temu. (Oklaski.)

„Dr. Herold — rzekł hr. Kalnoky — nie jest zadowolniony z obecnego pokoju, owóż i ja nie uważam dzisiejszych stosunków za ideał, ale nie można trójprzymierza robić odpowiedzialnem za to, że pokój ma taki a nie inny charakter. Trójprzymierze nie ma nawet cienia agresywnego charakteru, gdyby go bowiem miało, to przecież musiałby on się pokazać w ciągu piętnastoletniego istnienia tego sojuszu. Jestto sojusz tak jasny, że jeśli kto jeszcze żywi jakie wątpliwości, to już muszę wyrzec się nadziei rozprószenia kiedykolwiek tych wątpliwości. Ale mojem zdaniem wszelka wątpliwość w charakter trójprzymierza jest niemożliwą, a z tych, którzy mówią, że nie ufają trójprzymierzu, przemawia antypatya osobista, albo rasowa, co jest ubolewania godnem".

W dalszym ciągu zaznaczył hr. Kalnoky, że dodatkowe wyjaśnienia jego w komisyi wywołane fałszywą interpretacyą jego exposé, przyszły bardzo w porę. „Nikt nie może mi zarzucić — rzekł hr. Kalnoky — ażebym był bardzo czułym na artykuły dziennikarskie, w tym wypadku jednak zabrałem głos, gdyż przywiązuję bardzo wielką wagą do tego, aby opinia publiczna w Niemczech nie została zbałamuconą. Zamierzony cel osiągnąłem, gdyż po wyjaśnieniach moich ustała polemika dziennikarska".

Na zapytanie p. Massaryka, na jakich faktach opiera się nasz stosunek do Rosyi i czy zawarto z nią jaki układ w sprawach bałkańskich, odpowiada minister jeszcze raz, że nie zaszły żadne konkretne fakta i w ogóle nie zaszło nic takiego, coby oznaczało jakiś zwrot lub zmianę frontu. Stosunki nasze do Rosyi są dobre i hr. Kalnoky zapewnia, że zarówno car jak i rząd rosyjski są dobrze usposobieni dla Austro-Węgier. To utrzymywanie dobrych stosunków może, zdaniem ministra, mieć bardzo pomyślne skutki. Trzeba bowiem pamiętać o tem, że stosunki między jednem państwem a drugiem leżą wyżej aniżeli kolizya niektórych interesów. Nie ma zresztą na świecie dwóch państw, któreby takiej kolizyi nie miały, czy to w politycznych, czy w innych kwestyach. Jednakże takie kolizye nie muszą koniecznie dotykać przyjacielskich stosunków między monarchami i gabinetami. Utrzymywanie takich stosunków ma właśnie na celu ułatwienie usunięcia możliwych frykcyi. Że między dwoma państwami

---

10)

ICH SYN

Powieść współczesna

przez

HAJOTĘ.

(Ciąg dalszy).

Amorek ten miał nadzwyczaj oryginalną, mądrą a zdziwioną twarzyczkę. Wyglądał jak gdyby rozumiał i pamiętał treści różnych piastowanych przez siebie w ten sposób listów i jak gdyby to taki nierozwikłany chaos w jego zuchwałej główce wytworzyło. Gdyby miał zwykły ludzki mózg a zwłaszcza kobiecy, ten zapewnie byłby elastyczniejszym i na wszystko odpowiednie miejsce znalazł. Ale amorek był z brązu i dla tego miał ciągle oszołomioną minę istoty, która nie wie, czego się trzymać.

Klotylda stała jeszcze przy biurku, gdy portyera odchyliła się ostrożnie a w ramach jej fałd ukazał się wyprostowany lokaj z nieruchomą profesyonalną twarzą sztywnego sługusa dobrego tonu.

— Pan Dyamentowicz przyjechał — pyta, czy może widzieć się z panią?

— Prosić! — rzekła krótko Klotylda, nie odwracając się. Za chwilę w salonie rozległo się ciężkie i nierówne stąpanie niby czającego się niedźwiedzia, z towarzyszeniem stuków i szelestów, co pozwalało wnosić, że zbliżająca się w ten sposób niewidzialna postać wciąż o coś po drodze zawadza. Wnet i portyera u wnijścia do buduaru zachwiała się gwałtownie i nie bez przyczyny, coś w nią bowiem uderzyło i po chwili dopiero mozolnie z głośnem sapaniem wyplątało się. Tem czemś była głowa doskonale okrągła, osadzona na doskonale okrągłym karku, przytwierdzonym do doskonale okrągłych ramion, które odstawały od doskonale zaokrąglonego korpusu kołyszącego się na doskonale okrągłych nogach. Całość robiła wrażenie kilku dużych kłębków ciała nałożonych na sobie i utrzymywanych w jako tako ludzkich kształtach, przez zapięty na wszystkie guziki czarny tużurek i obcisłe pantalony w popielatą i czarną kratkę. W dodatku każdy szczegół tej podobnej do humorystycznej illustracyi figury, lśnił się jak pięknie wymyte szkło; począwszy od ogolonej, czerwonej twarzy a skończywszy na butach, po których niewidzialna szczotka zdawała się wciąż przesuwać, tak były nieprawdopodobnie czyste i świecące.

Pan Dyamentowicz, stosownie do nadanego tej bryle przez lokaja nazwiska, posunął się bokiem ku witającej go uprzejmym uśmiechem Klotyldzie i nagle zawinąwszy jednem ramieniem stanął przed nią frontem, z nadzwyczajną ostrożnością niosąc do ust podaną sobie rękę, a własną lewicę z dzierżonym w niej wyglansowanym cylindrem, trzymając na plecach. Rezultat tych ewolucyi był taki, że dwie poduszki z taboretów spadły na ziemię a kapelusz trącił o stojący z tyłu na japońskim stoliczku wazonik. Pan Dyamentowicz schylił się a raczej przysiadł na ziemi, bo zgiąć się było dlań niepodobieństwem, pozbierał poduszki, obejrzał się na szkodę, której o mało że nie wyrządził i dopiero wtedy, głosem także jakiegoś specyalnie okrągłego brzmienia przemówił:

— Może ja wielmożnej pani dobrodziejce przeszkadzam?

— Bynajmniej! — odpowiedziała rozweselona widocznie. Niech pan siada.

— Co słychać?

Pan Dyamentowicz obejrzał się znów niespokojnie, szukając instynktem, najsolidniejszego siedzenia, wybrał sobie jakiś budzący zaufanie fotel, który spłaszczył się pod jego ciężarem jak przedziurawiona raptem gumowa poduszka i odparł:

— Źle słychać, wielmożna pani dobrodziejko, bardzo źle!

— A! — rzekła Klotylda dosyć obojętnie. Cóż takiego?

— Kartofle pogniły w tym roku, jak to już miałem zaszczyt wielmożnej pani dobrodziejce listownie z 19tego października donieść, a obok tego, pieniędzy, jakich pani dobrodziejka listem z 25-tego października żądała — nie przywożę.

— Dla czego? — zawołała z żywością. W fijołkowych jej oczach mignął niepokój.

— Dla tego, wielmożna pani dobrodziejko, że jak to miałem zaszczyt listem z dnia 4 września donieść, przebudowałem stajnię, bo w tem starem wiejadle koniom pęciny puchły od przeciągów. Postawiłem trzy nowe chlewy ulepszonego systemu, piękne, że panienki mogłyby w nich mieszkać, a oprócz tego dawałem do naprawy żniwiarkę, czego odżałować nie mogę, bo to był z przeproszeniem grat stary, nie wart tego kosztu ni zachodu. Ale człowiek do śmierci się uczy i wszystkie zęby zje, a jeszcze pieńki na swojej głupocie łamać będzie, jak to zresztą miałem zaszczyt w tym liście wielmożnej pani dobrodziejce donieść.

Klotylda poruszyła się niecierpliwie.

— Wolałabym, panie Dyamentowicz, — rzekła przygryzając swe rozkoszne usteczka, — żebyś pan mniej treści swoich listów pamiętał, a więcej do treści moich się stosował. Wszak pisałam panu najwyraźniej, że mi pieniędzy potrzeba koniecznie.

— Pamiętam, wielmożna pani dobrodziejko, ale gospodarstwo potrzebowało ich także, a to pierwsze!

— Jakto! przedemną nawet? — uśmiechnęła się mimowolnie. Pan Dyamentowicz z pełną uszanowania powagą wykonał ruch potwierdzający.

— Co robić, wielmożna pani dobrodziejko, kiedy tak jest? Gospodarstwo może się obejść bez wielmożnej pani dobrodziejki: i owies zejdzie i żyto się wykłosi i pszenica dojrzeje, wszystko będzie, byle tylko deszcz, a słońce kiedy potrzeba; a tymczasem wielmożna pani dobrodziejka bez tego gospodarstwa nie byłaby taką panią jaką jest, jak to już miałem zaszczyt niejednokrotnie w listach moich...

— Wiem, wiem, — przerwała, — ale zgodzisz się pan chyba na to, że jeśli gospodarstwo, jak pan powiadasz, może istnieć bezemnie, w każdym razie powinno istnieć dla mnie.

Okrągły jegomość rozstawił swe bochenkowate ręce i chciał je spleść na brzuchu, ale okazały się za krótkie, kiwnął więc tylko głową z rezygnacyą znamionującą, że się nie po raz pierwszy o tem przekonał i opuścił je na kolana.

— Niekoniecznie, wielmożna pani dobrodziejko. Gospodarstwo istnieje przedewszystkiem dla ziemi, tej poczciwej ziemi, nad którą już nic lepszego na świecie nie ma! Powiadają, że pies jest najwierniejszym przyjacielem człowieka, a ja mówię, że ziemia. Cobyśmy bez niej robili. Nawetby po czem chodzić nie było i gdzie się położyć, kiedy ostatnia godzina wybije. I karmi nas, i odziewa i wszystko. Ale też komu Pan Bóg takie szczęście dał, że mu z tej ziemi kawałek na własność przysądził, to już dbać o nią powinien jak o rodzoną. A jeszcze o takie śliczności jak ta Wiedrzówka, co to i las i woda, i grunta czarne a pulchne, choć je całuj, i łąki królewskie! Ja wielmożna pani dobrodziejko, tylko mizernym rządzcą tego złotego jabłuszka jestem, a przywiązałem się do niego jak niańka do dziecka i krzywdy-bym mu za nic zrobić nie dał.

Pan Dyamentowicz mówił z przejęciem, jego okrągłe siwe oczy z pod przygniatającego je tłuszczu powiek spojrzały jakoś szerzej i głębiej, błysnął w nich jakiś ogień ukryty, który całą tę twarz pospolitą, zgrubiałą od słońca, karykaturalnie prawie rozdętą uszlachetnił przelotnym promieniem uczucia i myśli.

Ale śliczna pani nie zdawała się być przekonaną.

— Wszystko to bardzo pięknie — rzekła — tylko mnieby się zdawało, że nazywając Wiedrzówkę złotem jabłkiem, mówisz jej pan komplement. Od paru lat nawet na nazwę srebrnego nie zasługuje. Ciągłe straty, pogorzele, gradobicie. Chyba pan temu nie zaprzeczysz, że się dochody umniejszyły.

(Ciąg dalszy nastąpi).

są pewne niezałatwione kwestye, to nie przeszkadza bynajmniej, aby ich gabinety utrzymywały ze sobą dobre, nawet bardzo dobre stosunki. Przytem musi jednak hr. Kalnoky odeprzeć stanowczo zarzut, jakoby zwrócił politykę austryacką na tę drogę, którą podczas zeszłorocznej sesyi delegacyi zalecał młodoczech Eim i którą minister wówczas zwalczał jako niepatryotyczną. Minister przypomina, że już w zeszłym roku powiedział, iż pragnąłby, aby stosunki nasze do Rosyi były dobre, nawet bardzo dobre. Nie ma zatem żadnego kontrastu między stanowiskiem obecnem a tem, które minister zajmował w zeszłym roku. W końcu zaznaczył hr. Kalnoky, że instytucya delegacyi na pewne trudności dla ministra spraw zagranicznych, gdyż częste mówienie o tym samym przedmiocie musi wywołać pewne perturbacye, zwłaszcza w czasie, który nie nastręcza żadnego tematu do dyskusyi o polityce zagranicznej i o sytuacyi ogólnej. Od pewnego czasu spostrzedz można, że parlamenty w ogóle bardzo mało mówią o polityce zagranicznej, gdyż wszędzie zaczynają nabierać przekonania, że wielkie dyskusye szkodzą tej delikatnej materyi. Przemowę swą zakończył minister gorącem życzeniem, aby w Czechach wnet nastał zupełny spokój i abyśmy wzmocnieni w ten sposób na siłach pracowali dla dobra monarchii i dla utrzymania jej powagi i mocarstwowego stanowiska. (Huczne oklaski).

Po przemówieniu referenta Dumby przerwano debatę. Dalszy ciąg jej odbędzie się dzisiaj.

Plan nauki języka polskiego.

VI.

3) Jest jeszcze nie jedno do wytknięcia nowemu Planowi, co fachowym zostawiamy piórom i pismom. Przeciw poprawności językowej trudno się przecież spodziewać błędów w przepisach normujących naukę tego samego języka, tem mniej, że cała rzecz napisana na 28 karteczkach, a więc i korekta drukarska nie była trudna. Przecież jest kilka usterków językowych:

a) Wyraz „zapoznawać" znaczy podług Skobla tyle, co „nie znać", lub „nie chcieć znać" („*verkennen*"); po polsku dobrze tylko „zaznajomić" kogo z czemś. Tymczasem ten błąd językowy, jeżeli nim jest, powtarza się dość często. O ile zauważyliśmy, to jest do poprawienia na str. 34 „głębsze zapoznanie się", na str. 36 „wystarczy zapoznać uczniów", o kilka wierszy wyżej: „Tutaj zapozna się uczniów", na str. 37 „wymagają zapoznania uczniów", na str. 38 „należy zapoznać uczniów", na st. 39 „dokładniejsze zapoznanie" uczniów, a niżej „również zapozna się uczniów", na str. 40 „zapoznać uczniów", na str. 44 „aby zapoznał się z teoryą".

b) Plan ostrzegać każe (na str. 32) uczniów przed błędami dyalektycznymi jak np. germanizmami, a na str. 34 czytamy zwrot niepolski: „da się nagiąć do abstrakcyi", na str. 40 „da się połączyć z nauką", na str. 51 „da się tylko wtedy zupełnie osiągnąć".

c) Zapewnie błąd drukarski, jednak poprawić go należy: „z najwybitniejszymi osobami, stojącymi na czele tego ruchu" (str. 21) chociaż wyraz osoba, jak sierota, mógł korektor pojmować jako współrodzajowy.

d) Mówi się, że ten ustęp, utwór, jest „poetyczny" bez względu na jego formę mowy wiązanej czy niewiązanej, lecz równie dobrze się nie mówi, że ten lub ów ustęp jest „prozaiczny", albowiem do tego wyrazu przywiązujemy znaczenie prawie ujemne, tyle co „bez polotu"; przeto zamiast przymiotnika „prozaiczny" lepiej pisać: „napisany prozą." Kilka razy tego przymiotnika nadużyto, jak na str. 7 „czy to prozaiczny czy poetycki", na str. 12 „jakiegoś prozaicznego lub poetyckiego", na str. 20 „ustępami prozaicznymi", na str. 44 „prozaiczną powiastką".

e) Stronę bierną unikamy jako przeciwną duchowi języka polskiego, razi ona przeto i u tem bardziej, że jest w kodyfikacyi nauki języka polskiego jak na str. 15 „mogą być w podany sposób przerabiane" i indziej.

f) W przysłówkach licznych: „po pierwsze", po wtóre, po trzecie" piszemy oba składniki osobno, — tak uczy p. Małecki w swej dawniejszej i najnowszej gramatyce w VIII wydaniu, tymczasem korektor wszędzie ten błąd zatrzymał: na str. 5, 17, 48: indziej „powtóre".

g) „Zachodzić" użyto niewłaściwie na str. 36: „Zachodzące w tym kierunku błędy", na str. 38: „zachodziła potrzeba" i t. d.

Jakkolwiek Plan i Instrukcya są aktami urzędowymi, jest przeto to nie mniej od innych publikacyi podlegają prawidłom gramatycznym i dobrego stylu; owszem w tym wypadku powinny być wzorami polszczyzny.

4) Dotąd o ujemnych stronach Planu nowego; a czyż on nie ma żadnych stron dobrych? Bylibyśmy niesprawiedliwi, gdybyśmy zalet nowego Planu nie widzieli i nie podnieśli.

Już to samo, że nareszcie jest jakiś Plan nauki języka polskiego i to z aprobatą pana ministra, że lubo najpóźniej — przecież i język ojczysty otrzymał nareszcie Instrukcyę swej uprawy w Galicyi, jest korzyścią dla kraju, a wydanie Planu [illegible] pożądaną koniecznością. Co zresztą jest w Planie wadliwego, łatwiej to już poprawić, niż zatwierdzenie Planu uzyskać, a trzeba wyznać, że wiele ustępów zwłaszcza Instrukcyi należy do pierwszorzędnych piękności w literaturze pedagogicznej. Podniesiemy wyjątki: Na str. 6 czytamy: „Drugiem zadaniem lektury w języku ojczystym jest wychowawczy wpływ na umysły uczniów. Należytym wyborem czytanek trzeba [illegible] uczucia estetyczne, ale przejąć uczniów tą świadomością, że [illegible] powinna być zgodność; że tylko człowiek ma wartość, który szlachetnie czując, szlachetnie myśli i czyni, [illegible] że stałość, hart, wierność przekonaniom i zdolność działania, zdolność poświęcenia są przymioty stanowiące o wartości i zasłudze człowieka." [illegible] na to szlachetnej pomyśleć i powiedzieć?

b) Dla dopięcia tego wysokiego celu nowy Plan podaje i środki: jak „czytanie", „objaśnianie", „zdawanie sprawy" i „uczenie się na pamięć" (str. 6), o nowy każdy szczegół czyli środek dydaktyczny omawia i wszechstronnie i bardzo mądrze, a stosownie do podziału nauki języka polskiego (str. 5) na „lekturę, naukę gramatyki i wypracowania piśmienne", od str. 7—32 traktuje o lekturze na wszystkich stopniach nauki, od str. 32—41 poucza o zakresie i metodzie nauki gramatyki, wreszcie od str. 42—56 podaje zasady wypracowań piśmiennych na trzech coraz wyższych stopniach rozwoju umysłowego młodzieży. Można z wielu punktami się nie zgodzić, jak to wyżej uczyniliśmy, ale trzeba przyznać, że bardzo wiele jest trafnych uwag, rad i przepisów dla nauczycieli, widocznie z długiego doświadczenia szkolnego wyjętych. To przyznajemy z całą przyjemnością.

Na zakończenie jeszcze jedno sobie stawiamy pytanie, czy stało się to oględnie i dość roztropnie, a z dobrem szkoły zgodnie, że nowy Plan, nim jeszcze wszedł w życie szkolne, nim go w praktyce wypróbowano, tak ostro i głośno osądziliśmy. Czy to nie jest duch anarchii dawny, co stawiał zawsze swoje *veto* bez względu na słuszność i porę wobec każdej nowości, a szukał nie rzeczy, lecz we wszystkiem siebie samego; czy zamiast przysługę oddać, nie rzucamy pęt na naukę języka polskiego w gimnazyach, nie paraliżujemy sami nowych zarządzeń, osłabiając wiarę w skuteczność pracy na takiej podstawie tak w uczących jak w uczących się tego przedmiotu? Uprzedzamy ewentualne zarzuty i odpowiadamy na wszystko jednem słowem: „Nie". Jak x. Waleryan Kalinka w swoim wstępie do „Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta" jest tego zdania, że prawda dziejów choćby najboleśniejsza, jest zawsze zdrowszym pokarmem od całego stoku przesady, apoteozy i najsłodszych złudzeń, tak — *si licet parva componere magnis* — i w pedagogii tylko prawdą dochodzi się do rezultatu, do zakreślonego celu. Tę prawdę tylko i nic więcej mieliśmy na oku, poddając Plan nowy krytyce i może lepiej, że my ją wypowiadamy, niż w innej formie miał nam ją kto inny wypowiedzieć. Co chroma, nigdy za wcześnie się przed tem społeczeństwa nie ostrzega; czy zawsze ma pozostać dewizą naszą, że „mądry Polak po szkodzie?" Od tego jesteśmy dziennikiem, abyśmy objawy życia kontrolowali, a że nowy Plan ma obowiązywać dopiero od r. szkolnego 1893—4, tem lepiej już dzisiaj — o kilka miesięcy naprzód — wytknąć jego wadliwości, bo może kogoś przecie nasze uwagi zainteresują, może ktoś zechce sprawdzić nasze zarzuty, może do nowego Planu władza szkolna krajowa doda komentarze, co wady Planu odrobią, nim on stanie się podstawą nauki szkolnej. Nie siebie, ale dobra gimnazyów galicyjskich szukamy, kiedy studyum nad nowym Planem przedsięwzięliśmy, ale podniesienia nauki języka polskiego w tej prowincyi pragniemy, jego pogłębienia i prawdziwej uprawy, której pragnie zresztą kraj cały; ale pragniemy i życzymy sobie podchowania dziatwy szkolnej, co przychodzi dzisiaj do rządowych gimnazyów coraz rzadziej z pałacu lub dworku szlacheckiego, a prawie wyłącznie ze wsi i miasteczek bez żadnej narodowej tradycyi lub co gorsza z przewróconą główką i sercem najczęściej, w duchu jak religijnym tak narodowym, aby tym duchem narodowym owiana, poczuwała się i dążyła wcześnie do tego wszystkiego, co ją z tą ziemią wiąże, aby w tej atmosferze ducha narodowego podchowana, nabrała dość siły, dość przekonań, dość hartu, by nie uledz pokusom i chorobom wieku, nie uledz naukom i prądom przewrotu, uderzającym tak silnie na coraz więcej punktach o tę biedną polską ziemię; aby ona, gdy nadejdzie potop, była „strojem w rozstroju", a w chwilach prób i prześladowania, potrafiła być — — —

„cierpliwością, tą panią niedoli,
co gmach swój stwarza z niczego— powoli")

aby przez rozumienie swej przeszłości nabyła jej czci i poszanowania i rosła na tęgie charaktery, pożyteczne krajowi a pożądane państwu.

„Treści nam zatem pilnować i istoty" — powtarzamy za Akademią Umiejętności i za jej pierwszym genialnym sekretarzem śp. Józefem Szujskim, a „pilnować tej treści" na wszystkich polach, wszędzie potrzeba, nawet w szkołach średnich; dlatego nie zniechęcamy do pracy w szkole uczniów i profesorów, kiedy brak tej „treści i tej istoty" w wielu punktach nowemu Planowi nauki języka polskiego w gimnazyach wytykamy; owszem każde, choćby najmniejsze uwzględnienie naszych żądań, łączy się bezpośrednio tylko z większym nakładem pracy u jednych i drugich i tylko dobrze zrozumiany patryotyzm nie cofnie się przed intenzywniejszą pracą szkolną.

Z temi życzeniami zamykamy nasze uwagi.

Z lwowskiej wystawy obrazów.

Studyum Sylweryusza Saskiego ma oprócz dobrego rysunku także zalety kolorystyczne. Niejeden sądzi, a zdarza się to nawet między naszymi pp. artystami, że kolorystycznością jest nagromadzenie na obrazie najwięcej kleksów, plam i kresek barwnych położonych farbą o ile możności nierozmieszaną, żywcem wziętą z palety. Takie mniemanie można wreszcie wybaczyć publiczności, stanowczo jednak nie uchodzi malarzowi. Obraz w ten sposób namalowany jest tylko pstrokatem płótnem, mniej lub więcej przypominającem pejzaż, figury ludzkie lub zwierzęce. Kolorystycznością nie jest kładzenie kolorystycznych kleksów, ale jest powtórzenie w obrazie ze zdecydowaną wyrazistością różnicy barw obserwowanych w naturze.

Są dwa rodzaje malarzy, jedni widzą kolorki na palecie, drudzy odczuwają silnie barwy w naturze; pierwsze w sztuce jest manierą, drugie artyzmem, prawdziwą malarską zdrową zaletą.

Jeżeli malarz jest kolorystą i chce namalować lecącego na tle nieba, białego gołębia słońcem oświetlonego, to namaluje niebo głębokim tonem błękitnym, który uzyska pewną domieszkę czerwonej farby, a gołębia bardzo jasną plamą w odpowiednich konturach z uwzględnieniem cieni — malarz szukający kolorków na palecie, kropnie sobie niebo jakąś wrzeszczącą farbą niebieską, gołębia zas urozmaici barwnymi kleksami, refleksami fikcyjnymi czerwonymi, żółtymi i zatraci w ten sposób zupełnie wrażenie zjawiska, które jest jasną białą plamą na głębokiem błękitnem tle.

Pan Sylweryusz Saski malując swoje studyum, zachowuje miarę w używaniu barw i mimo tego, a raczej w skutek tego rzecz ma cechy kolorystyczności.

Dobrze odczutą w barwach jest głowa na jasnem tle jak również ręce, spokojnie i bez rzucania nieusprawiedliwionemi efektami namalowaną jest suknia i kapelusz, rzeczy te robią dobre wrażenie materyi czarnej. Całość, mimo że nie widzimy tutaj ostatecznych szczegółów, jest jednak pracą skończoną; malarz bowiem dał nam powtórzenie tego efektu, jaki sam odbierał patrząc na modele z pewnej odległości, powtórzył każdą plamę barwną w tych granicach, jak ją w naturze obserwował. Studyum to mimo, że jest w Monachium malowane, nie nosi jednak piętna maniery tej szkoły.

Kolorkowemi lecz nie kolorystycznemi są „Zaloty" p. Batowskiego. Obrazek malowany zdaje się przeważnie z pamięci, zalety jednak kolorystyczne... gdyby tutaj były, byłyby jedynemi, okupującemi powstałe w skutek tego usterki. W cieniach a zwłaszcza w malowaniu włosów, używa p. Batowski zarówno tutaj jak i we wspomnianych poprzednio portretach jakiejś charakterystycznej jednej i tej samej przezroczystej farby; jestto okoliczność, która sama jedna popiera silnie, czyniony przez nas p. Batowskiemu zarzut braku kolorystyczności. Zjawiska w naturze są tak różnorodne, że trudno jest dwie rzeczy jednej barwy zaobserwować. W obrazku dobrze namalowanym jest wazon z kwiatami.

Więcej kolorystycznego talentu posiada p. Seweryn Obst. Jego obrazek „W ogórkach" jest pod względem barw dość dobrze odczutym, całość jednak przeszarżowana. W zaaranżowaniu motywu, w rozłożeniu liści, badyli, jest sztuczne usiłowanie wprowadzenia rozmaitości, co przypomina niesmaczne niemieckie olejodruki jakiegoś Krausego lub Müllera.

Ujemną stroną prac p. Obsta jest rysunek stale bardzo wadliwy. Figura „W ogórkach" jest słabo namalowana i jeszcze słabiej narysowana. „W martwej naturze", najlepszą cząstką jest czaszka, w wielkim zaś portrecie damy, suknia. Wprowadzenie szarych tonów między silne refleksa jest dobrze pomyślanem, poza tem portret przedstawia małą wartość artystyczną. Głowa i ręce są licho rysowane i licho namalowane.

Nie odczuwa kolorków na palecie, jak również nie odczuwa ich w naturze p. Sozański. Jego akwarele są suche, nie dają nam tej zdrowej soczystości barw, którą na każdym kroku w naturze widzimy. Artysta ten maluje głębokie tony sadzą, ludzkie zaś ciało w barwach zbliżonych do jajecznicy lub sosu pomidorowego. Czasem, lecz rzadko, występuje zaleta chwytania wyrazu.

Śmietankowym kremem powleczonym jest obrazek panny Pająk Anieli „W moim pokoju". Oprócz tej wady znajdują się tu jeszcze inne rysunkowe. Lepszą znacznie jest „Główka szatynki". Ogólnie zarzucilibyśmy tej artystce brak sumienności w studyowaniu, każda z jej prac jest właściwie lepiej lub gorzej rozpoczętą rzeczą. Są malarze, którzy malują kapitalne obrazy szeroko, jednym rzutem, ale do tego musieli oni zgłębić jak najwszechstronniej zjawiska w naturze, musieli sobie przyswoić całą techniczną stronę malarstwa, wtenczas mogli zostawić obraz w formie szkicu, bo z po za takiego wyglądać będzie zawsze wiedza malarska obserwacyą uzyskana, łatwość w pokonywaniu trudności, do czego dochodzi się albo wielkim talentem, albo wielką pracą; rzecz taka będzie zawsze robić wrażenie tylko cząstki tego, co malarz umie. Prace panny Pająkównej nie robią wrażenia, żeby artystka pokazała tylko cząstkę tego, co umie.

Pięknym, typowym okazem skamieniałości talentu, są obrazy p. Szernera. Malarz ten, Józefa Brandta nieszczęśliwie kompilujący, daje nam rzeczy tak podobne do siebie, że kto jeden z jego obrazków widział, ten właściwie widział wszystko. Prace jego przedstawiają zupełnie odmienny objaw; nie ma tutaj wrażliwości na barwy w naturze, ani na kolorki na palecie, jest tylko recepta i ona właśnie skamieniałość talentu charakteryzuje. P. Szerner maluje niebo, teren, ciało ludzkie według pewnej utartej, stale się powtarzającej normy.

Te same wady, tylko w większym stopniu, posiada obrazek Molnara Józefa „W Pompei". Wszędzie martwota, zastój, skamieniałość, nigdzie żywej, ruchliwej obserwacyi, doszukiwania się prawdy, intencyi odźwierciedlenia szczerego natury.

Lepszą, jednak cokolwiek kolorkową, jest akwarela Fałata „O zmroku". P. Fałat jest bezsprzecznie najznakomitszym polskim akwarelistą; malował on wiele obrazów o wielkiej artystycznej wartości, z obecnie jednak wystawionych szkiców żaden nie stoi na wysokości jego talentu. W główkach nie dał nam natury, tylko śmiałą brawurę techniki akwarelowej. Z poprzednio wystawionych bardzo dobrym był szkic „Odpoczynek w czasie polowania", było tam słońce, głębia, wiele prawdy.

Pan Kotowicz malując swoje „Gołąbki" nie szuka kolorków na palecie — to prawda; stara się je wykryć w naturze — ani słowa, ze mu się to jednak nie udaje, dowodzi właśnie powyższy obrazek. Są talenta mierne, nie rzucające się na wielkie pomysły, umiarkowane, nie wychodzące poza swój zakres powszedniości, od takich jednak wymaga się przynajmniej sumienności w podpatrzeniu tego lub owego skromnego momentu. U p. Kotowicza jest kilka szczegółów dobrze namalowanych jak obrazki nad pianinem, w reszcie jednak powtarza się jakaś sucha, niesmaczna, żółto-szara zaprawa, którą napuszczone są zarówno białe gołębie na oknie, twarz, ręce, suknia, wszystko! Na gołębiach tutaj możemy skonstatować brak kolorystycznych zalet, powinny one uderzać jasną plamą, co się tu jednak nie dzieje.

Mówiąc poprzednio o p. Krzeszu powiedzieliśmy, że maluje on sucho i bez wyrazu; nasze twierdzenie znajduje poparcie, kiedy oglądamy dwa jego „Morskie pejzaże z południa". Wada powyższa najsilniej występuje w obrazku, przedstawiającym morskie fale. Są one tak malowane, że nie odbieramy wrażenia rzeczy śliskiej, mokrej, przezroczystej, wrażenia soczystych, głębokich tonów wody. Te tony są wreszcie tutaj dosyć barwne, ale ukazują się nam jakby za jakimś pyłem federweisu. Na ostatnim planie, który się nie dość dobrze cofa w głąb, dzieje się jakiś galimatyasz. W drugim obrazku dobrze jest namalowane niebo; pierwszy plan jest dobrze scharakteryzowany w słonecznym efekcie, rzecz jednak niebieskiemi barwami przeforsowana.

Portrety pp. K. i R. są więcej odmienne pod względem barwy jak poprzednie, zachodzi jednak między niemi pokrewieństwo tej rutyny p. Krzesza, stempla, po którym jakąkolwiekbądź pracę tego artysty poznać łatwo można, wreszcie częściowo, zwłaszcza w portrecie p. R. powtarzająca się stale pewna kombinacya barwy czerwonej na twarzy. Wada powyższa powstaje w części z przyswojonej rutynki, głównie jednak z wprowadzania w portrety czerwonego tła. Dowód tego widzimy w wystawionych obecnie pracach. Portret p. K. jest na brudno-zielonem tle i barwy te tylko w bardzo małym stopniu posiada, w drugim jednak jako refleksy silnie się już udzieliły. Jest to wadą, okoliczność jednak powyższa dowodzi, że p. Krzesz maluje portretowanych w warunkach tła z natury, że tego tła na płótnie dowolnie nie dorabia.

Harasimowicz Marceli daje pejzaże bardzo nierównej wartości. Jego „Wzlot kaczek" miał szczęśliwe cechy, za to obecnie wystawiony pejzaż „Z nad Prutu" jest bardzo słaby. Nie ma tutaj ani jednego szczegółu artystycznego, jest rzecz jakby dyletancka. Banalną jest ta figurka łowiąca ryby w wodospadzie, jak również maleńka figurka kobiety na pierwszym planie.

Reyzner Mieczysław jest niezmordowanym w reprodukowaniu paryskiego półświatka; jego Wiosny, Kokietki, Pasterki, Zalotnice, Bachantki, Czarnookie, napróżno wyglądają nabywcy. W jednej pracy z wyżej wymienionego zbiorku są dobrze namalowane piersi i ręce.

P. Steinsberg jest malarzem utalentowanym. Jego portret p. S. przedstawia wiele dodatnich stron. Młody ten artysta malując głowę, odczuwa ją dobrze jako jasną bryłę ciała o pewnych formach, na którą padły promienie światła. Głowa w jego portrecie świeci i uwypukla się silnie jak rzecz o okrągłych formach, czoło i policzek są trochę przemodelowane, ręce są za to bardzo dobrze w tem natężeniu światła utrzymane. W drugim jego portrecie pani Z., widzimy już silnie występujące zalety malarza portretów. Jest to rzecz znacznie lepiej rysowana i z większą miarą namalowana. Portret w całości jest dobrze skomponowany i dobrze odczuty pod względem indywidualnym; ta głowa żyje i przemawia swoim charakterem. Niewytłumaczonem jest tylko forsowanie jasnemi barwami na piersiach i staniku.

Z wystawionych prac p. Barącza najsłabszą jest „Kościuszko", dobrą jednak kuta w marmurze „Venus z Amorkiem" i „Studyum staruszka". Obie te prace są cokolwiek stylizowane, mają jednak zachowane dobrze proporcye ciała i miękkość, wreszcie ruch jak w ostatniej. Stylizowanie widzimy w niedość naturalistycznem traktowaniu głowy staruszka, a już jako wada występuje ono w pracy „Venus z Amorkiem" gdzie ręce są nieproporcyonalnie małe. Najsłabszą częścią jest tutaj głowa Amorka. Również dobrym jest medalion Goszczyńskiego i biust Lenartowicza; ta głowa junacko w tył rzucona ma w sobie wiele charakteru.

Pracą miernej wartości jest Dukszyńskiej „Pacierz", jak również Wisłockiej „portret chłopczyka". Lepszym cokolwiek jest Weina „portret Źenia".

Wisłockiej „Jutrzenka" jest pracą znacznie lepszą jak „portret chłopczyka" tejże artystki. Rzecz jest dobrą w ruchu i dobrą w proporcyach.

Jan Zawada

Do pp. Prenumeratorów Przeglądu!

Za każdą zmianę adresu należy z góry uiścić 20 ct.

Osoby wyjeżdżające do wód po za granice monarchii zechcą nadto opłacić różnicę porta pocztowego, która wynosi do Niemiec 35 ct. miesięcznie, do Szwajcaryi, Włoch, Francyi, Belgii, Hollandyi etc. 65 ct. miesięcznie.

„Wiarusy," powieść trzytomowa w wydaniu książkowem, jest do nabycia w administracyi „Przeglądu" po 4 zł z przesyłką pocztową.

KRONIKA.

Lwów 15 czerwca.

Owacye dla ks. Metropolity. Deputacya „Czytelni katolickiej" pod przewodnictwem prezesa prof. Thulliego udała się onegdaj do JE. ks. Metropolity Sembratowicza z wyrazami czci i hołu w imieniu tego stowarzyszenia. Ks. Metropolita przyjął deputacyę nader łaskawie i serdecznemi słowami wyraził jej swą życzliwość.

Dyrektor poczt i telegrafów, p. radzca dworu Seferowicz, wyjechał dnia 13 bm. w podróż inspekcyjną w towarzystwie sekretarza prezydyalnego p. Wopaternego.

Mianowania. Prezydyum krajowej dyrekcyi skarbu zamianowało koncepistę skarbowego Jana Zacharyasiewicza, inspektorem podatkowym, zaś praktykanta konceptowego dra Jana Gottfrieda, koncepistą skarbowym.

Przeniesienia. P. Namiestnik przeniósł komisarza powiatowego Wilhelma Kreutza z Sambora do Lwowa.

Z Uniwersytetu. P. Mikołaj Sabat, rodem z Obertyna, otrzymał na wszechnicy lwowskiej stopień doktora filozofii.

P. Kazimierz Zygmuntowicz, rodem z Turza w Galicyi, otrzymał na Uniw. lwowskim stopień magistra farmacyi.

Wybór uzupełniający jednego członka Rady powiatowej w Lisku, z grupy gmin wiejskich, rozpisało Namiestnictwo na dzień 19go lipca r. b.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Kolbuszowej rozpisała z terminem do 15 lipca konkurs na kilka posad nauczycielskich. — Krajowa dyrekcya skarbu ogłasza konkurs na posady zarządzcy i kontrolora we wschodnio-galicyjskich urzędach sprzedaży soli.

Muzyka wojskowa 30 pp. grać będzie jutro w piątek w Ogrodzie Miejskim. Początek produkcyi o godzinie 6-tej.

Towarzystwo lekarskie krakowskie postanowiło wziąć udział w powszechnej wystawie krajowej r. 1894.

W kołach ruskich obiega pogłoska, że wkrótce ma wyjść wspólna kurenda biskupów ruskich, zabraniająca księżom prenumerowania moskalofilskiego *Hałyczanyna*.

W sprawie kolei elektrycznej odbyła się wczoraj pod przewodnictwem p. wiceprezydenta Marchwickiego narada z reprezentantami berlińskiej firmy „Elektricitäts Gesellschaft", która wybudowała niedawno tramwaj elektryczny we Wrocławiu. Reprezentanci tego Towarzystwa pp.: Rohle i Ratenau, między innemi zaprojektowali utworzenie z gminą miasta Lwowa akcyjnego Towarzystwa krajowego z siedzibą we Lwowie. Projekt ten najbardziej się podobał i obie strony mają wypracować zasadnicze punkta umowy. Tramwaj elektryczny miałby być zbudowany do 15 maja 1894 roku od dworca kolei Karola Ludwika przez ulicę Sapiehy do placu Maryackiego i ztąd dalej na plac wystawy. Linia zaś Plac Ołowy-Łyczaków zbudowaną zostałaby do lata 1895.

Brak wody. Mieszkańcy ulicy Zamkowej użalają się w liście, nadesłanym do nas, że z powodu zupełnego braku studzien muszą posyłać po wodę na plac Strzelecki lub Stary Rynek, co stanowi blizko kilometr drogi. Na wypadek pożaru, cała ulica padłaby spewnością ofiarą, bo kropli wody nie ma na ratunek.

Z Kijowa nam donoszą, że profesor tamecznego Uniwersytetu i redaktor *Kijowskiego Słowa*, p. Antonowicz, został mianowany wiceministrem skarbu.

Krakowskie towarzystwo techniczne zawiadamia dyrekcyę wystawy, iż zarząd jego zaprosił na delegatów do komitetu wykonawczego wystawy pp.: Jana Matulę, radzcę budowniczego ze Lwowa i Tadeusza Stryjeńskiego, architektę z Krakowa.

Nagła śmierć. Wczoraj donieśliśmy o nagłej śmierci ks. Aleksandra Lubomirskiego. Telegram uwiadamiający nas o tym smutnym wypadku był tak wystylizowany, iż sądziliśmy, że ks. Lubomirski umarł w Wiedniu. Tymczasem dziś otrzymujemy drugi telegram, który objaśnia nas, że książę Aleksander Lubomirski umarł nagle nie w Wiedniu, lecz w Paryżu. Jest dwóch książąt Lubomirskich tego imienia, wszakże z okoliczności towarzyszących doniesieniu, domniemywać się można, iż zmarłym właśnie jest wspaniałomyślny fundator Schroniska im. Lubomirskich w Krakowie i zakładu Magdalenek w Łagiewnikach.

Lilia, to kwiat niepedagogiczny. Co to znaczy? W pewnem mieście galicyjskiem, liczącem przeszło 20.000 mieszkańców, odbywała się uroczystość pierwszej Komunii św. panienek szkolnych.

Z wielką radością oczekiwały dzieci tego dnia, w którym miały brać udział w uczcie niebieskiej. To też gotując przedewszystkiem dusze na przyjęcie Gościa nad gośćmi, Pana nad pany, nie zapomniały i o przygotowaniu zewnętrznem, tj. o odpowiedniem ubraniu ciała swego. I rzeczywiście, kiedy zgromadziły się do szkoły, z której miały się udać do kościoła na tę ucztę — patrząc na nie, a z jednej strony widząc w nich przejęcie się czcią Najwyższego, z drugiej strony radość na myśl tak wielkiego szczęścia, jakie je spotkać miało za chwil kilka — w bielutkich jak śnieg szatach, z białemi (robionemi) liliami w rękach, trzeba było powiedzieć, że to aniołki, adorujące Pana Zastępów. Nic więc dziwnego, że rodzice i obecni w kościele, patrząc na te aniołki łączące się z Panem Jezusem wśród świętego nastroju, jaki miał miejsce podczas tego nabożeństwa, niejedną łzę uronili.

Tymczasem to, co jednych budowało i do łez pobudzało, innych drażniło, a może nawet gorszyło. I cóż takiego? Oto właśnie te białe lilie, trzymane w rękach panienek, drażniły niektóre osoby z grona pedagogów! Dlaczego? Bo, jak twierdzono, lilie te mogły być przyczyną myśli nieopatrznych; a nadto drażniło je i to, że panienki, idąc parami ze szkoły do kościoła, niosły lilie w ręku. — „Uszłoby to", mówiono, „w obrębie zakładu; ale nieść publicznie, to rzecz niewłaściwa, niepedagogiczna."

Cóż na to? prawda, że przy takiej uroczystości trzymają dzieci zwykle gorejące świece, mające piękne znaczenie; lecz ileż przytem zdarza się wypadków zapalenia ubrania, poparzenia się! A zresztą czyż lilia nie jest kwiatem symbolicznym, czyż nie jest przyjętym jako taki w Kościele? czyż dzieci nie widzą go i w kościołach i w domach na obrazach Świętych? I kiedyż przyszło komu do głowy, że lilia może być przyczyną myśli grzesznych? Nie dosyć. Jeżeliby lilia mogła być przyczyną jakichś myśli, to ileż i jakie myśli mogą nasuwać np. niektóre ustępy historyi naturalnej używanej w szkole? ile myśli mogą nasuwać obrazki niektóre w książkach szkolnych, a przecież tego nie usuwa się ze szkoły?

Jeżeli dalej, niesienie lilii w ręku nie jest pedagogicznem, to cóż mówić o różnych oznakach czy to religijnych, czy narodowych, używanych i noszonych publicznie? Cóż mówić o owych publicznych występach n. p. w czasie tak uroczystej procesyi na Boże Ciało, którą się szczyci Kościół katolicki? Występy publiczne, mówią oni, podsycają u młodzieży tylko próżność. I to niekiedy być może, lecz czy zawsze i u wszystkich? Zresztą jakie występy? Czyż występowania publiczne Kościół dla próżności postanowił? W takim razie nie trzebaby nosić w czasie procesyi, chorągwi, świec, feretronów i t. d. Stąd nic dziwnego, iż podczas gdy w innych miastach, miasteczkach, i wioskach szkolne dziewczątka biało ubrane, asystują rzucając kwiatki, co inni pedagodzy uważają za rzecz właściwą, wiedzą bowiem dobrze, iż przez to oddaje się publicznie cześć P. Bogu, a dzieci zachęca się i przyzwyczaja do pobożności i publicznego wyznawania wiary św, szkoła tego miasta żadnego nie bierze udziału. Gdyby wszystkich były podobne zapatrywania, to kult zewnętrzny publiczny musiałby zniknąć, gdyż człowiek niewłaściwych zapatrywań wszystkim czynnościom, a nawet ruchom, n. p. głębokim pokłonom może niewłaściwe podsunąć znaczenie. Za to pedagogicznem ma być wyprowadzanie młodzieży z kościoła już wtenczas, kiedy kapłan odprawiwszy mszę św. t. zw. szkolną, jeszcze klęczy na stopniu ołtarza, odmawiając modlitwy przez Ojca św. nakazane, co wtenczas dzieci myślą i jak się usposabiają, o to mniejsza. A dlaczego tak się spieszą? Czy dlatego, by godziny naukowej nie zarwać? Gdzie tam! dlatego tylko, by miały dzieci więcej czasu do niepotrzebnych, a może i szkodliwych rozmów przed nauką! Oto pedagogia!

Całkiem inaczej pojmują to wysokie władze, a szczególnie wysoka c. k. Rada szkolna krajowa, która troszcząc się o religijno-moralne wychowanie młodzieży szkolnej w porozumieniu z Najprzewiel. Ordynaryatami biskupimi, tak piękne wydała rozporządzenie co do ćwiczeń religijnych w szkołach ludowych. Cześć jej! Oby tylko wszystko i wszędzie w duchu tego rozporządzenia było praktykowane! *Z. Z.*

Zjazd delegatów wystawy z wschodnich powiatów kraju odbędzie się stanowczo dnia 26 a nie 20, jak to mylnie jedno z pism doniosło.

Egzamin dojrzałości w gimnazyum św. Jacka w Krakowie odbył się w dniach od 5-go do 10-go czerwca b. r. pod przewodnictwem inspektora krajowego dra Samolewicza. Świadectwo dojrzałości z odznaczeniem otrzymali: Mięsowicz Erwin i Wyrwiński Maryan. Świadectwo dojrzałości otrzymali: Deisenberg Adam, Drószcz Karol, Fragner Izajasz, Furko Julian, Gawor Błażej, Goldwasser Łazarz, Grünwald Wilhelm, Janik Wojciech, Jossé Alfred, Junger Markus, Jüttner Maryan, Kohn Jakób, Landau Saul, Laskowski Władysław, Loebel Hirsch, Kulmatycki Jan, Pągowski Edmund, Przeworski Józef, Rappaport Mechel, Silberstein Józef, Szymczykiewicz Stanisław, Szmaciarz Stanisław i Weinsberg Jakób. Przeznaczono do egzaminu poprawczego po feryach 9 abituryentów. Za niedojrzałych uznano: 2 uczniów publicznych i 2 eksternistów. Od egzaminu odstąpił 1.

Z Izby sądowej. W dniu wczorajszym przesłuchano byłego wspólnika Rappaporta, Stanisława Romana. Człowiek ten, siwy, bez lewej ręki, robi, bardzo dobre wrażenie, a z jego zeznań widać, iż działał w dobrej wierze i chcąc oszczędzić Rappaporta, złożył jako świadek przy przesłuchaniu nie tyle może fałszywe, ile niekompletne zeznanie. Roman był dawniej właścicielem drukarni i redaktorem gazety ludowej *Pielgrzym,* wydawanej w Pelplinie. Rappaport bawił podówczas w Gdańsku i Romanowi przesyłał ogłoszenia do jego gazety. Ztąd tego znajomość z Rappaportem. Gdy w roku 1890 osiadł Roman w Stryju i nabył kopalnię nafty

wyczytał w jednem z pism lwowskich ogłoszenie Rappaporta, iż pośredniczy w wszelkich sprzedażach, dzierżawach, przy zawieraniu pożyczek i t. d. Przyjechał więc do Lwowa i tutaj odnowił z Rappaportem znajomość. Rappaport zaproponował mu spółkę, którą też w marcu 1892 roku zawiązali. W sprawie nabywania pretensyi Ambrosa tłómaczy się Roman, iż uważał to za interes osobisty. Za kupno drogueryi dostał Rappaport 100 złr. prowizyi, z których Roman i jakiś koncypient adwokacki dostali po 30 złr. Z prowizyi 300 złr. wypłaconej Rappaportowi za pośrednictwo w kupnie realności przez Ambrosa na Zniesieniu otrzymał Roman połowę a mianowicie 75 złr. od razu a 75 złr. w dwu czy trzech ratach. Roman nie wiedział, że za pretensye do Ambrosa otrzymał Rappaport należytość i dla tego egzekwował wyroki.

Trzeci z oskarżonych, Meiłech Hauptmann, nazywany przez Rappaporta „meszigene", waryatem, przedstawia się rzeczywiście jako człowiek niespełna rozumu, choć w jego zeznaniach czuć, iż jest bardzo sprytny i nie taki głupi, za jakiego chce uchodzić. Rappaporta zna „z widzenia" jeszcze z Drohobycza, gdzie podobno Rappaport ma żonę.

We Lwowie poznał się „na dobre" z Rappaportem, chodził do niego na „dobry koniak". Ze Lwowa wysłał go Rappaport do swojej żony z propozycyą, aby powróciła do niego, gdyż chce z nią zrobić na spółkę „interes", na który Rappaport nie miał pieniędzy. Co do nacisku wywieranego wspólnie z Szabem na Ambrosa opowiada Hauptmann, iż pan „komisarz" Szabo ma „a jüdischen Kopf". Rozmowy Szabego z Ambrosem nie słyszał, stał bowiem na uboczu, lecz „widział" z daleka, jak Szabo pokazywał Ambrosowi „orzełka" pod klapą surduta. Twierdzi dalej, że Ambros dał nie 300 złr. lecz 350 złr., to jest tak prawda, „so wahr ich Jude bin". Na Rappaporta rzuca się niemal z wściekłością, charakteryzuje go jako ostatniego oszusta, który „zdurzył Ambrosa, Romana, Blasera, Szalego, zdurzył mnie, zdurzył prześwietny sąd i pana przewodniczącego i nas wszystkich". Hauptmann przyznaje się, że na jednej cesyi podpisał Freilicha, ale twierdzi, że za pisanie tym podobnych dokumentów może być, „jako były dependent znanego adwokata Weissteina, karany tylko za pokątne pisarstwo, ale nie za oszustwo".

Dzisiaj opowiada dalej Hauptmann, iż Rappaport przyjął go tylko dlatego, aby mieć pod ręką fałszywego świadka. Dalej opowiada oskarżony, iż przysiągł sobie, że Rappaporta wsadzi do kryminału, z Romanem natomiast był jego stosunek jak najlepszy, a nawet poufały. Przy konfrontacyi Roman zaprzecza temu stanowczo, a Hauptmann rzuca mu wprost w oczy słowa: „kłamstwo", choć przyznaje, że Roman jest za uczciwym człowiekiem na faktora.

Obrońca Hauptmanna, p. Willerstorf, postawił wniosek, aby sąd polecił zbadać stan umysłowy oskarżonego, ale Hauptmann sprzeciwił się sam temu i prosił przewodniczącego, aby nie pozwolił w ogóle p. Willerstorfowi mówić, gdyż on jako „dependent adwokacki" sam sobie wystarczy i nie pozwolił sobie na żaden sposób wytłómaczyć, że obrona „z urzędu" jest w obec sądu przysięgłych konieczną. W swoich zeznaniach starał się Hauptmann skompromitować każdego kogo tylko zna, i nie szczędził obelg rozmaitym osobom, przyczem i obrońcom nie szczędził przykrych uwag. Zaprotestowali przeciwko takiemu postępowaniu obrońcy: dr. Lisiewicz, dr. Grek i dr. Krosiński.

Następuje przesłuchanie ajenta policyjnego Szabo, nazywanego przez Hauptmanna ciągle „komisarzem", co — jak się tłómaczy Hauptmann — jest „zwyczajem" przyjętym we Lwowie. — Szabo opowiada, iż Rappaport objaśnił go, że ma wyroki prawomocne na Ambrosa, którego nazwał: „gefährliches Individuum". Hauptmann przedstawił mu się jako „dependent adwokacki" z Drohobycza.

Rozprawa trwa dalej.

Prócz „balonistów" zgłosił się z ofertą do dyrekcyi wystawy demonstrator fonografu edisonowskiego, Polak.

Z Tarnopola nam piszą:

Sezon koncertowy tegoroczny zaliczyć należy do najświetniejszych, jakie Tarnopol pamięta. Mimowoli przypomniały się nam świetne czasy Towarzystwa muzycznego, kiedy to niedający się u nas zastąpić prof. Wszelaczyński dzierżył w swem ręku ster naszej artystycznej nawy.

Dzisiejsze koncerty Towarzystwa naszego straciły cechę artystyczną i zasługują raczej na miano popisów amatorskich. Sytuacyę uratowały dwa ostatnie wieczory, które nam dały sposobność poznać jednego z największych dziś śpiewaków, p. Myszugę, który dał tu jeden koncert na cele dobroczynne. Zbytecznem byłoby chyba dodawać, że entuzyazm publiczności był niezwykły. Obok pana Myszugi zaprezentowała się nam jako doskonała śpiewaczka panna Salomea Kruszelnicka, która pierwsze niemal kroki stawiała na estradzie tarnopolskiej przed dwoma laty. To też z niemałą radością śledziliśmy jej nadzwyczajne postępy, których wielką zasługę przypisać należy jej nauczycielowi, p. Waleremu Wysockiemu. Pod względem kasowym wypadł ów koncert niemniej świetnie, bo przyniósł on dochodu około tysiąca guldenów.

W dwa dni później usłyszeliśmy prof. Wolfsthala, który swą prawdziwie mistrzowską grą wprowadził w zachwyt bardzo licznie zgromadzoną publiczność. Również gorąco oklaskiwaliśmy grę pianistki panny Semkowiczówny, jak niemniej niezrównanego akompaniatora prf. Neubausera.

Z Łańcuta nam piszą:

W mieście naszem zawiązało się Towarzystwo wzajemnego kredytu, stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką. Dyrekcya tego Towarzystwa składa się z trzech członków i tyluż zastępców. Na pierwszy okres zostali wybrani dyrektorami pp.: dr. Ignacy Arzt, lekarz skarbowy; dr. Walenty Szpunar, adwokat w Łańcucie, i ks. kanonik Emil Zauderer, rz. kat. proboszcz w Łańcucie. Zastępcami ich wybrani pp.: Władysław Zakliński, geometra powiatowy; Stanisław Bieniasz, rolnik w Głuchowie, i Mojżesz Katz, kupiec w Łańcucie.

Żegnaj się! W jednem z większych miast Galicyi wschodniej — jak donosi krakowska *Praca* — zdarzył się niedawno następujący wypadek:

Pan X., profesor tamtejszego gimnazyum, od lat już wielu nie uważał za stosowne używać znaku Krzyża św. przy modlitwach szkolnych. Publiczne to lekceważenie jakoś długo panu profesorowi uchodziło. Aż wreszcie trafiła kosa na kamień. Pewnego dnia wchodzi pedagog do jednej z klas wyższego gimnazyum, jak zwykle, z kapeluszem w jednej a katalogiem w drugiej ręce, i trzymając mocno w spuszczonych rękach te dwa przedmioty, na znak że już nie ma trzeciej ręki do przeżegnania się, czekał na rozpoczęcie zwykłej modlitwy. Uczniowie jednak, na wzór swego mistrza zrobiwszy „Habt Acht!", cierpliwie milczeli. A gdy profesor przerwał tę ciszę słowami: „R ó b c i e modlitwę!", wówczas jak na komendę zagrzmiała odpowiedź: „Żegnaj się!" I pan profesor, uwolniwszy swą prawicę od kapelusza, przeżegnał się istotnie... może po raz pierwszy od lat już wielu.

Fakt ten dosadnie pokazuje, jak baczną uwagę zwraca młodzież na religijność swych profesorów i że nie jest to rzeczą małej wagi, czy profesorowie spełniają wraz z uczniami praktyki religijne, czy też się od tej wspólności usuwają.

Pożar. Dnia 13 czerwca przed południem podczas odpustu wybuchł w Dynowie ogień w pobliżu miasteczka. Ogień został przez sąsiadów szczęśliwie stłumiony, jednakże podnieść należy, że posłaniec z zawiadomieniem o wybuchu pożaru kręcił się po całem mieście i nie zastawszy w urzędzie gminnym żywego ducha, nie wiedział co począć i w którą stronę się udać. Z istniejącej straży ochotniczej jeden tylko strażak przybył, narzędzi i przyborów pożarnych nie było wcale. Że z małej chmurki nie powstał wielki deszcz, to istny cud, jednakże trzeba pamiętać, że strzeżonego Pan Bóg strzeże i że z podobnej opieszałości setki rodzin w jednym dniu mogą się znaleźć bez dachu, chleba i odzienia.

Z Przemyśla donoszą: Ks. biskup Pełesz powrócił z Rzymu dnia 12 bm. Na dworcu oczekiwała go kapituła, duchowieństwo, alumni i liczne grono publiczności. Ks. biskupa powitał gorącemi słowy archidyakon ks. W. Lityński. Ksiądz biskup serdecznie podziękował za powitanie i oświadczył, iż zupełnie nieprawdziwe i bezpodstawne są pogłoski, szerzone o przyjęciu Rusinów w Rzymie. Ojciec św. przyjął pielgrzymów ruskich bardzo przychylnie i szczerze, udzielił im swego błogosławieństwa, a każdemu z biskupów polecił w imieniu jego udzielić błogosławieństwa wiernym w dyecezyach. „Przytem — zakończył ksiądz biskup — bądźcie pewni, iż my, jako wasi biskupi, mieliśmy w Rzymie na oku dobro Cerkwi naszej, nasz obrządek i dobro narodu ruskiego".

Spadek. W numerze z dnia 24 maja rb. donieśliśmy o śmierci najbogatszego człowieka w Tryjeście, kupca Jakuba Brunnera, który pozostawił dla swych spadkobierców majątek oszacowany na 22 milionów złr. Otóż *Głos jarosławski* pisze, iż milioner ten pozostawił rodzinę w powiecie jarosławskim, a mianowicie trzy bratanice Annę i Sabinę Brunner w Jarosławiu, tudzież Maryę z Brunnerów Wokalową, zamieszkałą w Wiązownicy. Domniemane sukcesorki, które żyją podobno w biedzie, poczyniły już kroki w celu zasięgnięcia bliższej informacyi co do milionowego spadku.

Z Kałuskiego donoszą, iż czeladnik stolarski Rudolf Bers zajęty przy budowie cerkwi w Podmichajlu, zakochał się w żonie wieśniaka Józefa Jakubowskiego i uciekł z nią w świat. Lecz nie zajechał daleko. We Lwowie bowiem policya wytropiła zakochaną parę i wsadziła ją do aresztu.

Wiedeńscy handlarze kos prześladują formalnie nasz wiejski lud swoją natrętnością, a już najbardziej natrętną w narzucaniu swego towaru jest firma Münzera i Spółki w Wiedniu. Oto kilku nauczycieli szkół ludowych z rozmaitych okolic kraju, nadesłało nam w ciągu ostatniego miesiąca całe pakiety rozmaitych cyrkularzy i anonsów tej firmy, które otrzymali pocztą pomimo, że nikogo o to nie prosili. W jednym z takich cyrkularzy przyrzeka firma Münzera i Spółki każdemu nauczycielowi, że jeżeli będzie namawiał ludzi do kupowania kos u niej, wówczas otrzyma za fatygę 11-tą kosę i każdy 11-ty brusik. Takich cyrkularzy rozsyła owa wiedeńska firma niezliczone mnóstwo po całym kraju, do wszystkich proboszczów, nauczycieli i kowali wiejskich. Taki u uczciwych firm kupieckich niepraktykowany sposób zachwalania i narzucania swego towaru zniechęciłby każdego inteligentnego człowieka, to też firma Münzera poluje tylko na chłopów i w osobnych cyrkularzach ostrzega ich, że jeżeli nie będą kupowali Münzerowskich kos, wówczas łatwo może piorun uderzyć w ich chatę. Oto dosłowny tekst ostrzeżenia, rozsyłanego przez Münzera:

„Niejaki żydowski handlarz kosami wpadł tego roku na koncept sprzedawania kos magnetycznych. Otóż obstalował sobie zwykłe kosy targowe, z prostej blachy, które mu fabryka za nadpłatą 2 centów od sztuki u końca ostrza magnetyzuje. Każdy, kto tylko do szkół chodził, wie, iż miękkie żelazo, jak n. p. podkowa lub blacha przez dotknięcie się z magnesem nabywa własności magnesu, a to w tem silniejszym stopniu, o ile żelazo jest miększem, a tem trudniej, o ile żelazo jest twardsze, dlatego naprzód hart kosy musi być odpuszczony, by przyjęła magnetyczne własności, przez co staje się wcale niezdolną do koszenia. Jest to po prostu żydowska blaga, obliczona na tumanerye łatwowiernego rolnika, jakoby gdzie na świecie znajdowała się stal magnetyczna i jakoby magnetyzowanie podnosiło sieczność kosy. Zwracam się tedy z prośbą do PT. księży, nauczycieli i innych mężów uczonych, by lud przed takiem wyzyskiwaniem ostrzegać raczyli z tem pouczeniem, że niebezpieczeństwem wielkiem jest kosę magnetyczną trzymać pod strzechą w czasie burzy, bo ona wskutek magnetyzmu przyciąga pioruny i może łatwo być zgubą dla całej gminy. W innych krajach handel kos magnetycznych jest ustawą karną wzbroniony, a stowarzyszenia asekuracyjne w razie uderzenia piorunu w chaty lub budynki, gdzie kosa magnetyczna była przechowana, odmawiają pogorzelcom wypłaty asekuracyi. Z głębokiem poważaniem Münzer i Spka". — No, zaiste do firmy, która w ten sposób stara się pozbyć swój towar i drugim zarzuca żydowską blagę, chociaż sama posługuje się żydowską blagą i gada o takich głupstwach, jak o tem, że kosy przyciągają pioruny, nie można mieć wiele zaufania.

Festyn uczestników powstania 1863 r. odwołany z powodu niepogody, odbędzie się w niedzielę dnia 18 czerwca b. r. na górze zamkowej.

Z Poznania nam piszą:

Niespodzianie zawitał dziś (wtorek 13 czerwca) cesarz Wilhelm II do naszego miasta o godzinie 5 rano. Z dworca udał się do koszar jeżyckich, gdzie zaalarmował załogę. W przeciągu pół godziny całe wojsko było na miejscu przeznaczenia. O godzinie 6 wjechał cesarz na czele 2 batalionu pułku grenadyerów, za którym postępowała cała załoga.

Po całej drodze, mimo wczesnej pory, zgromadzone były liczne tłumy, które witały cesarza okrzykiem: „Niech żyje!" Na gmachach rządowych powywieszano flagi, także domy prywatne tak Niemców jak i Polaków ozdobiono chorągwiami i festonami; gustowną dekoracyą wyszczególniał się Bazar ze swemi czerwono-białemi festonami w bramie głównej i biustem cesarza. Z pola ćwiczeń powrócił cesarz po godzinie 12 i na całej drodze od bramy Bydgoskiej aż do gmachu komenderującego jenerała, u którego cesarz zamieszkał, nader liczne zebrały się tłumy, pragnące widzieć powracającego na czele załogi poznańskiej cesarza. O godzinie 6 odbył się obiad galowy, a następnie raut u komenderującego jenerała, na który otrzymali zaproszenie także obywatele z miast i z prowincyi. Wieczorem odbył się wielki capstrzyk, wykonany przez całą załogę poznańską przed gmachem komenderującego jenerała.

Na żądanie cesarza uwolniono dziś dzieci ze wszystkich szkół.

W nocy cesarz odjechał do Berlina.

Kongres starców. Pomysł ten wyszedł z Paryża, a wystąpiła z nim redakcya *Science médicale*. Konkurs ten, oryginalniejszy o wiele od popisu niemowląt lub piękności, odbędzie się w pałacu sztuk wyzwolonych w dniach od 15 do 25 lipca rb. Organizatorowie mają na myśli cel poważny: naukę; ale chyba i malownicza strona sprawy także na uwagę zasługuje.

Konkurs powołuje wszystkich matuzalów, tak mężczyzn jak kobiety, tak obywateli Francyi jak c a ł e g o ś w i a t a, z tym jedynie warunkiem, aby na barkach swych nie mniej jak 90 wiosen pełnych dźwigali. Konkurujący nie potrzebują się o nic troszczyć; komitet popisu zajmie się opłaceniem kosztów podróży, choćby najodleglejszej, i kosztów pobytu w stolicy Francyi, w otoczeniu wszelkich wygód i starań. Wyznaczono trzy nagrody w złotych medalach: dla najstarszego, dla najsilniejszego i dla najinteligentniejszego. Nadto, laureat, wygrywający na zasadzie autentycznych dokumentów rekord ów starości, otrzyma subwencyi 500 fr.

Konkurujący umieszczeni zostaną grupami w oddzielnych salonach pałacu. W pierwszym najmłodsi, tj. 90letni, a następnie coraz starsi aż do buduaru króla czy królowej matuzalów.

Kto będzie tym patryarchą?

Wedle ostatniego urzędowego spisu ludności we Francyi w roku 1886 na listach znalazło się 209 starców stuletnich i wyżej. Szef biura statystycznego w ministerstwie handlu Turquan, uderzony wysokością tej cyfry, zadał sobie trud sprawdzenia istotnego stanu rzeczy.

I oto pokazało się, że przez łatwo zrozumiałą w pewnych okresach starości zalotność — bo każdy wiek posiada właściwą sobie kokieteryę — wielu matuzalów po kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt dorzuciło sobie latek.

Po dokładnem sprawdzeniu rzeczy liczba 209 stuletnich i wyżej starców spadła na 80, mianowicie 42 liczyło lat 100, 15 lat 101, 7 lat 102, 6 lat 103, 5 lat 104, 3 lat 105, 1 lat 112, 1 lat 116.

Senior „stulatków" — ów, który bajecznej dożył cyfry lat 116 — nazywał się Rives, a mieszkał w Tarbes. Akt urodzenia świadczył, że przyszedł na świat dnia 21 sierpnia 1770 w San Estewan de Lireza, w hiszpańskiej prowincyi Huesca. Z kolei 112 lat liczyła pewna kobieta urodzona w roku 1774, zamieszkała w gminie Rieutord et Usclade w departamencie Ardèche.

Charakterystycznym dla Francyi szczegółem było, że większa część jej matuzalów pochodziła z departamentów sąsiadujących z Pireneami.

Komitet popisu przezornie uczynił, zniżając kres dopuszczalnego na konkurs wieku do lat 90; wiek to już bowiem sam z siebie bardzo poważny. Tłumów obawiać się nie należy, a podróż dla starców powyżej dziewięćdziesiątki, zwłaszcza dłuższa, nie zawsze bezpieczna i możliwa.

Na przewodnika uroczystości zaproszono lekarza Boissy, urodzonego dnia 2 kwietnia 1793, a więc przeszło stuletniego starca, praktykującego od lat 70, a z tego 40 w Hawrze, gdzie jeszcze w roku zeszłym podczas epidemii cholerycznej czynnym był był na równi z młodymi.

Z Rzeszowa nam piszą: Dzięki ludziom dbającym o dobro i prawdziwą opiekę w tutejszym szpitalu krajowym, poruszono sprawę sprowadzenia Sióstr Miłosierdzia i oddania im w opiekę i nadzór chorych. Zasługa to w pierwszym rzędzie szanownego prymaryusza dr. Stanisława Jabłońskiego, jak nie mniej i dr. Adama Zagórskiego i kuratora fundacyi ś. p. Towarnickiego dr. W. Towarnickiego, którzy robią usilne starania, by rzecz do skutku jak najprędzej doprowadzić. Projekt ten cieszy się wielkiem uznaniem w naszem mieście — pragną tego wszyscy.

Bo czyż może być lepsza i godniejsza opieka nad chorymi nad tę, jaką dają Siostry Miłosierdzia? Myśl jednak i chęć poprawy stosunków ubogiej warstwy mieszkańców, najwięcej korzystających ze szpitala, znalazła przeciwników, nie wiem, czy źle poinformowanych, czy też dla własnych korzyści, opierających się wszelkiemi możliwemi sposobami oddaniu zarządu i opieki nad chorymi w ręce Sióstr Miłosierdzia. Mamy jednak nadzieję, że ich zabiegi w tym wypadku nie odniosą żadnego skutku, że Wydział krajowy uczyni to, co jest ogólnem pragnieniem i co przyniesie korzyść a poprawi opinię tutejszego szpitala.

Drugą sprawą, obchodzącą tutejszy szpital, jest sprawa obsadzenia wakującej posady sekundaryusza. Dotychczasowy sekundaryusz od pół roku przeszło leży nieuleczalnie chory. Praca zaś, w szpitalu tak dużym jak tutejszy i chorymi ciągle przepełnionym, jest bardzo wielką i wymaga niezbędnie obecności sekundaryusza; tę to sprawę ośmielamy się przedłożyć do łaskawej wiadomości referenta spraw szpitalnych w Wydziale krajowym z prośbą uprzejmą o zaradzenie złemu.

W sobotę dnia 11 b. m. odbył się tutaj wieczorek muzyczno-wokalny ku uczczeniu pamięci Lenartowicza, wolę jednak o kierunku i wyniku artystycznym jak i finansowym przemilczeć. *Sapienti sat!*

Dzięki niestrudzonym zabiegom w niesieniu ulgi i pomocy ubogim, zostającym pod opieką dam Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, w szczególności zaś dzięki pani Adamowej Jędrzejowiczowej i br. Zofii Wallis, odbył się w niedzielę dnia 12-go b. m. festyn połączony z tombolą. Publiczność chętnie pospieszyła, by przysporzyć dochodu pięknemu celowi. To też dzięki uprzejmości pań i panów komitetowych, powodzenie festynu było zupełne i nie zapomni chyba nikt jak mile czas przepędził, a przy tem i zadość uczynił obowiązkom chrześcijańskim.

Nieszczęśliwy wypadek. Onegdaj eksplodowała w Szczercu (w samem śródmieściu) nafta, w składzie a raczej w piwnicy, przy czem odniosło dwóch żydów ciężkie oparzenia. Wskutek tego wybuchł pożar, który stłumiono okładając piwnicę błotem, którego nie brak w Szczercu. Oparzonych odwieziono do szpitala we Lwowie. Następstwa wybuchu mogłyby były być bardzo poważne, zwłaszcza, że na składzie było kilka beczek. Energicznej pomocy zawdzięczyć należy, że nie przyszło do większego nieszczęścia. Możeby władze tego rodzaju skład nafty usunęły ze śródmieścia gdzieś po za miasto, bo o nieszczęście nie trudno.

Juda Uzun. Naczelnik żydowsko-tatarskiej sekty Karaitów, Juda Uzun, umarł w rezydencyi swojej w Bakczy Saraju, jako zgrzybiały starzec. Juda Uzun był ulubieńcem cara Aleksandra II i III, którzy bardzo często bawiąc w swej rezydencyi Jałcie na Krymie, przyjeżdżali umyślnie do pobliskiego Bakczy Saraju, ażeby starca odwiedzić. Karaici mieszkają przeważnie na Krymie i Kaukazie, a w małej liczbie także koło Halicza. Różnią się od reszty żydów tem, iż nie uznają talmudu. U nas Karaici trudnią się rolnictwem, ubierają się jak nasi chłopi i odznaczają się wielką czystością.

Z Jasła nam piszą: Pierwszy zjazd zawiązanego niedawno we Lwowie Towarzystwa techników naftowych odbył się tu w niedzielę dnia 12 b m. w sali rady miejskiej. Przybyło około 70 uczestników z rozmaitych stron kraju, jak z Słobody, Kołomyi, Stanisławowa, Schodnicy, Majdanu, Krosna, Gorlic i t. p. Obrady rozpoczęły się o godzinie 9 rano i trwały do popołudnia. Po odczytaniu statutów wybrano zarząd Towarzystwa. W skład jego weszli pp: A Błażowski z Brzozowa jako prezes, W. Wolski ze Schodnicy jako wiceprezes, do zarządu wybrani pp.: dr. A. Zuber, Adam Trzecieski, Odrzywolski, Józef Mołoń, Ludwik Szul, August Podoski, Bol. Łodziński, wreszcie jako zastępcy wydziałowych pp. Łaszcz, Lewicki i Zeitleben. Sprawę własnego pisma fachowego oddano zarządowi do załatwienia.

Zmarli. Helena ze Zdańskich Truszkowska, żona c. k. podkomorzego i nadporucznika artyleryi, umarła we Lwowie, w 25 roku życia. — Teodor Ignacy Riedel, były kupiec, kierownik Bazaru wyrobów krajowych w Krakowie, umarł tam, przeżywszy lat 63.

Stan powietrza. Termometr + 13° Reaumu a o godzinie 7 zrana, w południe + 15 stopni Reaum. Barometr 762. Spada. Dzień pogodny, ale wietrzny. Wiatr północny.

Na raucie.

— No i jakże moja droga? Dobrze się bawisz?

— Nie bardzo, jestem już tu od pół godziny i żaden z panów nie powiedział mi dotąd nic dwuznacznego.

Teatr. Dziś czwartek: w teatrze hr. Skarbka „Prawa serca", sztuka w 4-ch aktach Kazimierza Zalewskiego. Drugi występ panny Heleny Marcello, artystki teatrów warszawskich. — Jutro w piątek: w teatrze letnim „Gorąca krew", wodewil w 3-ch aktach L. Krenna i K. Lindau'a.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** Panna Helena Marcellówna, artystka teatrów warszawskich, rozpoczęła wczoraj szereg występów gościnnych na naszej scenie, odtworzeniem roli Klary de Beaulieu w znanym dramacie Ohneta „Właściciel kuźnic". Panna Marcellówna znaną jest lwowskiej publiczności, przed trzema bowiem laty bawiła na naszej scenie i znakomitą grą swą pełną siły i oryginalności wielki odniosła tryumf. Rolę Klary odtworzyła wczoraj z werwą sobie właściwą i ze szczerością uczucia kobiety zakochanej namiętnie w tym mężu, którego w dniu ślubu ze wstrętem odepchnęła. Panna Marcellówna posiada prawdziwie artystyczny zapał i ogień, który wybucha jak lawa z jej piersi i porywa słuchacza i widza za sobą. Szczególniej silnie wypadły te sceny, w których szło o oddanie uczuć potężnych, wychodzących po za obręb niewieściej tkliwości, tam rozwinęła artystka nieporównany artyzm. Słabiej wypadły te miejsca, gdzie liryzm miał przewagę nad siłą tragiczną. Publiczność dość licznie zgromadzona w teatrze przyjmowała artystkę bardzo gorąco i serdecznie, po każdym akcie wywoływała ją po kilka razy. Prawdziwym huraganem oklasków nagrodzono prześliczną i pełną siły grę jej w akcie czwartym. W pierwszym akcie wręczono jej wieniec laurowy i kosz kwiatów.

Ensemble cały nie dostrajał się wcale do gry p. Marcello, szczególniej gra niektórych artystów ujemnie odbijała od całości. Z artystek dobrze z ról swych się wywiązały panie: Cichocka, Pankiewiczówna i Czaplińska.

* **Arcydzieło natury.** Po tym tytułem odegraną zostanie temi dniami w teatrze lwowskim jednoaktówka pewnej młodej autorki, znanej już na polu powieściopisarskiem. Autorka zastrzegła sobie zupełne incognito.

* **Nauka poglądu.** Nakładem Towarzystwa pedagogicznego wyszła duża ozdobna książka pod powyższym tytułem, obejmująca 12 kolorowanych tablic z obrazkami dla dzieci. Obrazki wykonane bardzo czysto w litograficznym zakładzie Przyszlaka.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 13 czerwca.

(*Z*). Sytuacya targu nie uległa dziś prawie żadnej zmianie. Walory bankowe opadały dalej ale w znacznie powolniejszem tempie aniżeli wczoraj. Pewne ożywienie dało się spostrzedz na targu papierów przemysłowych i kolejowych. — Dwa dni dzielą nas tylko od wyborów w Niemczech, przez te dwa dni zatem nie wyjdą giełdy z obecnego stanowiska. Na targu paryskim zamęt nie do opisania z powodu uciążliwości nowego podatku giełdowego. Wszelkie obroty w rentach ustały. Deputacya giełdy udała się do ministra finansów z prośbą o zaradzenie złemu.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 338·50, węgierskie 406·75, Anglobanki 151·50, Uniony 254·50, Bankvereiny 122·50, Länderbanki 253·75, Ludwiki 217·50, Czerniowieckie 258·25, Renta papierowa 98·30, srebrna 98·20, austryacka złota 117·30, 4% austr. renta wal. kor. 96·35, węgierska złota 116·05, 4% węgierska renta wal. kor. 94·90, dukat 5·84—, 20-frankówka 9·80½, marki 12·05, ruble 1·30—.

§ **W kampanii gorzelnianej 1890/1** to jest, trzeciej po wydaniu nowej ustawy, było w Galicyi w ruchu gorzelń rolniczych 584, nierolnicza 1. Ogólna produkcya tych gorzelń w powyższej kampanii wynosiła 48,458.152 litr alkoholu (484.581 hektolitrów), za które zapłacono podatku konsumcyjnego okrągło 17 milionów zł. Gorzelń, wyrabiających zarazem drożdże prasowane, było w Galicyi w tym okresie 2, nierolnicza 1, razem 3. We wszystkich innych krajach, reprezentowanych w Radzie państwa, było w tymże okresie w ruchu gorzelń, drożdże produkujących, rolniczych 22, nierolniczych 33, razem 55. Galicya, największa prowincya, ma tedy zaledwie trzy gorzelnie z wyrobem drożdży, inne zaś kraje 55.

Telegramy „Przeglądu".

Antwerpia 15 czerwca (pryw.) W teatrze tutejszym wybuchł wczoraj pożar podczas przedstawienia. W natłoku potratowano bardzo wiele kobiet i dzieci. Trzydzieści osób odniosło bardzo ciężkie uszkodzenia.

Petersburg 15 czerwca (pryw.) Przybył tu burmistrz miasta Libawy. Stara się on o audyencyę u cara, któremu chce wręczyć prośbę o cofnięcie ukazu, wydalającego żydów z tego miasta. W prośbie tej powołuje on się na to, że gdyby wszyscy żydowscy kupcy i przemysłowcy, których jest w Libawie około 6000, wynieśli się z miasta, wówczas groziłaby mu kryzis ekonomiczna.

Wiedeń 15 czerwca. Austryacka delegacya przyjęła budżet ministeryum spraw zewnętrznych i fundusz dyspozycyjny wszystkimi głosami przeciw 4 młodoczechom, poczem delegacya przystąpiła do obrad nad budżetem wojskowym.

Londyn 15 czerwca. Według sprawozdania konsulów angielskich zachorowało w ostatnim tygodniu w Lorient w portowem mieście w zachodniej Francyi 500 osób na cholerę; 178 z nich umarło.

Paryż 15 czerwca. Cholera w południowej Francyi słabnie. Wczoraj umarły tylko dwie osoby.

Pociąg kolejowy, jadący z Bellegarde do Thonon, wyskoczył z szyn koło stacyi Peerrignier. Jeden podróżny zginął, a wielu jest pokaleczonych.

Kladno 15 czerwca. Wczoraj odbyło się zapowiedziane przez władzę zgromadzenie górników, na którem miano prowadzić rokowania z dyrekcyą praskiego towarzystwa wyrobu żelaza, którego własnością są kopalnie. Reprezentanci towarzystwa oświadczyli jednak, że nie myślą się wdawać w żadne rokowania z bastującymi.

Hamburg 15 czerwca. Senat miejski, celem zapobieżenia zawleczenia cholery, wydał rozporządzenie, że począwszy od jutra nie wolno żadnemu wychodźcy z Rosyi stanąć nogą na terytoryum miasta Hamburga.

Przyjechali do Lwowa

dnia 15 czerwca 1893.

HOTEL IMPERIAL. H. Kieszkowski z Krakowa. J. Trzecieski z Dachowa. E. Bazzean z Bollndorf. M. Schmolka z Pragi. A. Krzyżanowska z Drohobycza. M. Kawecka z Cieszanowa. H. Karczewska z Cieszanowa. H. Arnold z Jass. A. Stecki z Susina.

HOTEL ZORZA. J. Burzyńska z Uhrynowa. B. Zudurowicz z Wołczkowiec. St. hr. Dzieduszycki z Gwoźdźca. A. Farkas de Felsö-eor z Pesztu. T. Fedorowicz z Klebanówki. E. Schnurpfeil z Gródka. Z. Rzuchowska z Mogilnicy. W. Ustrzycki z Czelatycz. K. Hochenegg z Wiednia. L. Doms z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 15 Czerwca godz. 2. min.

Akcye kred.	340·37	Galicyj. obligi propinacyjne	97.60
Alpiny	54.60	Wied. losy	178 —
Kredyty węg.	410·50	Akcye tyton.	182·—
Anglobanki	150·—	4% Poż. kraj. z r. 1893	96.10
Uniony	255·50	Elbethale	238·—
Ludwiki	218·—	Länderbanki	254·20
Nordbany	295·—	Renta zł. węg.	116·15
Lombardy	105·65	Bankvereiny	122·90
Losy tureckie	50·70	Węg. renta p.	94·90
Staatsbahny	309·—	Ruble	1.30·50
Czerniowieckie	258·50		

Usposobienie silne

Lwów. Z Izby handlowej 15 czerwca 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.

	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	217	50	219	50
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	257	—	260	—
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	375	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% los. w lat. 40	101	20	101	90
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	110	10	110	80
Banku hip. 4½% wa. los. w 50 lat.	100	—	100	70
Banku krajowego 4½% wa.	100	50	101	20
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya	98	50	—	—
„ „ „ 4% „ 41½	97	50	—	—
„ „ „ 4½% „ 52 lat	100	25	100	95
„ „ „ 4 „ 56 lat.	98	—	—	—
4. Obligi za 100 zł.				
Galic. fund. propinacyjnego 4%	97	50	98	20
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	102	75	—	—
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. II em.	102	50	—	—
Pożyczka kraj. 6%	106	—	—	—
„ „ 4½%	100	30	101	—
„ „ 4%	96	—	—	—
„ „ 4% koronna	96	—	96	70
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	23	—	25	—
„ „ Stanisławowa	40	—	42	—
6. Monety.				
Dukat holenderski	5.80		5.90	
Napoleondor	9.75		9.85	
Półimperyał rosyjski	9.90		—.—	
Rubel rosyjski srebrny	1.30		1.33	
„ „ papierowy . . .	1.29¼		1·31¼	
100 marek niemieckich	60·05		60·50	

54)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

— I zapewne odbędzie się wspaniale?

— O tyle, o ile się tylko da... bo wiesz, że ojciec nie rozporządza zbyt wielkiemi środkami, a nie chcemy znowu wszystkiego zawdzięczać macosze. Hrabia zresztą część wydatków bierze na siebie. Ślub odbędzie się najpierw w angielskiej kaplicy, a katolicki obrzęd powtórzy się w kosciele Matki Boskiej Loretańskiej. Będę miała suknię z ciężkiej, białej materyi, całą pokrytą brukselskiemi koronkami, i takiż sam welon. Koronki ofiarował mi hrabia; przecudowne są, mówię ci... istna pajęczyna. Pani Churchill powiada, że musiały kosztować najmniej pięć tysięcy franków. Ale to już okropnie późno, jestem bardzo zmęczona... a i ty pewnie także, z drogi...

— Tak; ujechałam czterysta czy pięćset mil w ciągu trzech dni.

— Biedaczko! I jechałaś sama jedna?

— Nie; znalazłam towarzystwo.

— A to się szczęśliwie złożyło. Pewnie jacyś znajomi pani Brenner. Ja bo już omało nie zapomniałam o jej istnieniu. Cóż tam słychać? Czy gmach akademicki stoi w dawnem miejscu? Czy bułki w poniedziałek zawsze takie twarde, jak dawniej?

— Wszystko po staremu — odparłam z westchnieniem.

— Dobranoc.

Ucałowałam ją w milczeniu i przeprowadziwszy ją oczami do drzwi, westchnęłam znowu. Czy podobna, aby się czuła naprawdę szczęśliwą? Wydawała się zadowolnioną ze swego losu, a jednak za marne złoto, stroje, za stanowisko w świecie i czysty tytuł sprzedała tę promienną młodość swoją i królewską urodę! Dla zadowolnienia wygórowanej próżności swojej wyrzekła się na zawsze słodkich marzeń miłości i dumnych polotów artystki; dla niej nie istniała poezya, ani świętość małżeńskiego związku. Świat miał jej zastąpić dom rodzinny, a poklask i skryta zawiść obojętnego tłumu starczyć jej miały za ciche i święte uczucia, niebacznie wzgardzone w chwili szału.

Biedna Hortensya!

ROZDZIAŁ XXX.

Nazajutrz, gdyśmy się zebrali przed obiadem w salonie, oczekując na przybycie hrabiego de Chaumont, ojciec sięgnął do kieszeni od kamizelki i podając kartę wizytową Hortensyi, rzekł:

— Jakiś pan, który przyjechał konno, zostawił dziś ten bilet dla ciebie. Któż to jest? Nie przypominam sobie tego nazwiska.

— Ani ja — odparła moja siostra, podając kartę pani Churchill. — To pewnie dla mamy.

— Pani Churchill rzuciła nań niedbale okiem i rzekłszy:

— Jak żyję nie słyszałam o tym panu — zagłębiła się napowrót w miękkich poduszkach wschodniej otomany.

Wtedy ojciec nałożył złote okulary i poszedł z kartą do oka.

— Ręczę, Hortensyo — że to wizyta do ciebie. Ten pan musiał ci się wczoraj przedstawić w pruskiej ambasadzie, gdyż byłem dziś w jadalnym pokoju kiedy zadzwonił i wyraźnie słyszałem, jak pytał, czy nie czujesz się zanadto zmęczoną. Przypomnij sobie. Z kimże obcym rozmawiałaś wczoraj?

— Z kilku zaledwie Anglikami, których dawniej już znałam.

— Hm! bo to też to nazwisko brzmi trochę jakby ze szkocka. Farguhar... Farguhar... Poczekaj... był niejaki kapitan Farguharson... ale prawda, to nie ma nic do rzeczy. To dziwne!

Serce moje uderzyło silnie, a płomienie wystąpiły mi na twarz.

— Jeżeli to jest pan Farguhar z Broomhill — rzekłam nerwowym tonem — to wizyta jego była dla mnie. Towarzyszył mi on z Zollenstrasse do Paryża.

Wszyscy ze zdumieniem obrócili się ku mnie, Hortensya roześmiała się na cały głos.

— Bravissimo! — zawołała. — Dobrze zaczynasz, Barbaro. Ale czego się tak rumienisz? No, powiedz, któż to jest ten pan Farguhar?

— Tak, któż jest ten pan Farguhar? — powtórzył ojciec, prostując się w całej wysokości i przybierając najbardziej imponującą postawę. — Któż jest ten pan Farguhar, który ośmiela się składać wizyty w moim domu, nie będąc mi przedstawionym? Zkądże przyszło do tego, żeby pani Brenner powierzała mu pieczę nad moją córką? Podejrzywam bardzo tych angielskich jegomościów, którzy się włóczą po niemieckich wodach.

— Pan Farguhar pochodzi z bardzo dobrej rodziny — odparłam. — Jest właścicielem ziemskim, a zarazem wielkim podróżnikiem i protektorem sztuk pięknych. Przebywał on ciągle w towarzystwie wielkiego księcia i często bywał zapraszany na dworskie obiady podczas pobytu swego w Zollenstrasse.

— I to jest wszystko, co ci o nim wiadomo?

— Bynajmniej, sir — odparłam stanowczo. — Jego dobra graniczą z posiadłością pani Sandyshaft i znam każdą piędź ziemi w Broomhill, jak znam kolegium, w którem byłam wychowana.

Ojciec odchrząknął i wydał się nieco zbitym z tropu.

— Czy ten twój stary przyjaciel jest młodym człowiekiem, Barbaro? — spytała złośliwie moja siostra.

— Ma około trzydziestu czterech lat.

— I średnio przynajmniej zamożny?

— Przypominam sobie, że raz zapłacił sześć tysięcy funtów szterlingów za jeden obraz.

Pani Churchill i Hortensya zamieniły znaczące spojrzenia. Ojciec zaś zadzwonił na Bruce'a i kazał mu przynieść ze swego pokoju gruby tom oprawny w skórę ze złoconym brzegiem.

— W dziele tem — objaśnił nas — znajdują się pobieżne opisy znaczniejszych rodzin angielskich. Przebywając zagranicą, trzeba zawsze wiedzieć, z kim się ma do czynienia i kto kogo rodzi. To chroni od wielu pomyłek. Otóż jest... Farguhar z Broomhill... Hm!... Broomhill używają jako rodzaj tytułu, na wzór szkockich laird'ów. To ciekawe! „Jedna z najdawniejszych rodzin we wschodniej Anglii... posiadłości ziemskie znacznie powiększone w ciągu ubiegłego pół wieku... obecny przedstawiciel rodu, żonaty z Łucyą Clive, córką J. Clive'a, członka parlamentu... dochód roczny od dwunastu do czternastu tysięcy..." To twój przyjaciel jest żonaty, Barbaro?

— Nie, ojcze. Zechciej porównać daty, a...

— Prawda. Dzieło to zostało wydane przed trzydziestu laty. Zatem ten pan Farguhar musi być synem tamtego i Łucyi, jego żony. I w jakim jest wieku, powiadasz?

— Sądzę, że musi mieć około trzydziestu czterech lat.

Ojciec wpatrzył się we mnie zamyślony i włożył ręce do kieszeni.

— Czternaście tysięcy... wcale ładny dochód — rzekł jakby sam do siebie. — Czternaście tysięcy i trzydzieści trzy lata.

Pani Churchill uśmiechnęła się i przymrużyła oczy, a Hortensya wtrąciła ironicznie

— Tak czternaście tysięcy i trzydzieści trzy lata wieku, to już samo przez się stanowi gwarancyę przyzwoitości. Po co zaglądać do książek, papo, kiedy tu cyfry świadczą same za siebie?

Ojciec zmarszczył brwi, bo był zdania, że wszelkie żarty stanowią ujmę osobistej godności. Chciał coś odpowiedzieć, ale w tejże chwili drzwi się otworzyły i Bruce oznajmił głośno:

— Pan hrabia de Chaumont.

Wysoki, poważny mężczyzna z łysą głową i białym wąsem wkroczył do pokoju, trzymając kapelusz pod pachą i jedną rękawiczkę w ręku. Trudno sobie było wyobrazić coś sztywniejszego i bardziej wymuszonego. Skłonił się głęboko przed panią Churchill i przed ojcem; poniósł do ust rękę Hortensyi, a gdy go mnie przedstawiono, złożył mi także głęboki ukłon. Dopełniwszy tej ceremonii, usiadł na krześle i nie przemówił ani słowa, dopóki nie oznajmiono, że zupa na stole.

Obiad przeszedł niewesoło. Ojciec był małomównym, Hortensya w złym humorze, niezadowolniona z siebie i z całego świata, a hrabia, który widocznie nie posiadał daru wymowy, wpatrywał się tylko bezmyślnemi swemi wołowemi oczyma w narzeczoną i wielbił ją w milczeniu.

Po obiedzie poszłyśmy się przebrać, aby jechać na operę. Był to tak niezwykły wypadek w mojem życiu, że kiedy panna Melania zjawiła się w moim pokoju i zaczęła nalegać, abym jej pozwoliła ubrać się w różową gazową suknię mojej siostry, przystrojoną bladoróżowemi stokrociami, nie śmiałam jej stawić oporu. Jednemu tylko sprzeciwiałam się stanowczo, to jest zmianie mego uczesania i okręciwszy po dawnemu długie moje włosy dokoła grzebienia, pozwoliłam im wić się swobodnie nad czołem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: [illegible]. Papier braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak.